№ 40. Warszawa, dnia 21 Września (3 Października) 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM LLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabi Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Wspomnienia z podróży.

IV.

Stanąwszy w Wiedniu na banhofie kolei północnej, w pośród gwaru i zgiełku przybyłych podróżnych, zabraliśmy i my ręczne pakunki z zamiarem pomieszczenia się w najbliższym hotelu. Pokazano nam tak zwany *Donau* zaraz na przeciwko banhofu. Był to gmach wspaniały, cztero-piętrowy, wypiększony, wyelegantowany, z obszerną wjezdną bramą i z trzystu numerów złożony. Ponieważ na dole wszystkie numera były zajęte, powiedziano, że na pierwszem piętrze jest pokój dość obszerny z dwoma łóżkami i pościelą za trzy guldeny dziennie. Cena niebardzo wygórowana dosyć się nam spodobała, zawsze jednak piętro o dwudziestu kilku wschodach aczkolwiek obszernych i bardzo wygodnych, dla chorej i osłabionej osoby, było odstręczające. Na zrobioną odpowiednią uwagę rządca hotelu oświadczył, że mają przyrząd, który wciąga osoby słabe na najwyższe nawet piętra bez żadnego trudu.

Wprowadzono nas też zaraz do małego pokoiku elegancko umeblowanego: na dany znak, winda zaczęła działać i bez świadomości nawet że płyniemy w górę, razem z owym pokoikiem, znaleźlismy sie na piętrze w środku obszernego przedsionka z korytarzami w różne strony rozchodzącymi się. Niezwykły to komfort a jakże wygodny dla osób osłabionych nie mogących się trudzić po wysokich wschodach.

Przechodząc po miękkich dywanach, i przedsionek i wszystkie korytarze zaścielających, które zaledwie lekki szmer pod naszemi nogami wydawały, podziwialiśmy wszędzie czystość, porządek i świeże powietrze nie zmięszane nigdzie z przykrą napływową wonią. Pokój był taki jaki pragnęliśmy, z wielką wygodą urządzony i również wysłany dywanem. Rozgościwszy się w nim taką ciszą otoczyliśmy się dokoła, że zdawało się iż oprócz nas nikt więcej nie mieszka w hotelu, a jednak mieliśmy pełno sąsiadów i bliższych i dalszych, tylko wszystko, co hałas może sprawiać, tłumiły grube mury, drzwi szczelnie zamykające się i dywany nawet wschody pokrywające.

O sto kroków od hotelu, znajdowała się stacya konnej kolei żelaznej, przy której zatrzymywały się jadące wagony, czyli jak tu zwano *tramwaje*, aby jedni podróżni wysiedli z nich, a nowi zabrali miejsca. Są one w tak wielkiej liczbie utrzymywane, tak jeden po drugim zaraz przybywa z wypisaną tablicą, gdzie się udaje, że na wolne miejsce zaledwie się czeka kilka minut i za dziesięć centów od osoby przejechać można cały Wiedeń po linii przecinającej go w pewnym kierunku.—

Wsiedliśmy więc do *tramwaja* idącego do Döblingu przez najpiękniejszą ulicę Wiednia zwaną Ring-strasse i wysiedliśmy przy ogrodzie miejskim, niby ogrodzie Saskim w Warszawie. Jakaż jednak różnica pomiędzy jednym a drugim. Prawda, że ogród Saski posiada aleje wysadzane staremi drzewami lip i kasztanów, których Wiedeński ma mało, ale za to Saski ogród przejrzysz na wylot, chodniki w nim pełne gruzu rozproszkowanego, a w powietrzu tyle pyłu że aż dusi, że pobyt w nim dla szanujących zdrowie prawie niepodobny. W Wiedeńskim miejskim ogrodzie gęste dzikie kląby nadają mu pozór parku, grzędy kwiatowe i piękne trawniki z największą utrzymywane troskliwością przystrajają go, chodniki wysypane drobnym niezmiernie zwirkiem białością kamyków pięknie odbijają przy bujnej wszędzie zieloności, a pomimo długich sukien, biegania licznej dziatwy powietrze jest tak czyste i świeże, że się zapomina o ludnem i dużem mieście, a zdaje się być na wsi wśród łanów pola i aromatycznej woni lasów.—Czystość ta i świeżość powietrza, brak pyłu choćby najmniejszego, cały wreszcie zalecają Wiedeń, nawet w samym jego środku najbardziej ścieśnionym nigdy przykry zaduch nie truje oddechu, nigdy oczów nie zapruszy kurz wiatrem podniesiony.—Tę wygodę tak dla zdrowia konieczną, Wiedeń zawdzięcza miejscowemu zarządowi i wybornej kanalizacyi. Codziennie od najwcześniejszego rana aż do zmierzchu, strugi wody spływają na ulice, chodniki, drzewa, kwiaty i trawniki; ogrody zlewają stróże, ulice służba miejska i to tak obficie, iż jeszcze w pół godziny po tym sztucznym deszczu, przechodzące panie muszą bardzo troskliwie szukać miejsca do przejścia żeby sukien nie powalać. To jednak zlewanie odbywa się nie ręcznemi konewkami z wodą czerpaną w studni, ale za pomocą długich rur skórzanych osadzonych w kranach wodociągowych, w ogrodach przesuwanych po trawnikach, na ulicy zaś wiezionych na wałach, na których okręcone, odwijają się w miarę posuwania się wózka.—

W środku ogrodu miejskiego znajduje się obszerna sadzawka, pięknym dokoła obłożona trawnikiem obarjerowanym nizkim żelaznym na słupkach utrzymywanym łańcuchem. Na sadzawce czysto utrzymanej pływa rój kaczek różnego gatunku, gęsi, łabędzi i tak obłaskawionych, że z ręki wydzierają bułkę dla nich przygotowaną. Jest to miejsce bardzo lubione przez Wiedeńczyków, szczególniej przez dzieci, które w licznych gromadkach karmią ptastwo, bawiąc się jego żarłocznością.—

Oprócz tego jednego miejskiego ogrodu, innych podobnych jest bardzo wiele, rozsypanych wokoło starego miasta, a prywatnych wielkie mnóstwo z urządzonemi w nich kawiarniami i jadalniami. Gdzie się zwrócić, gdzie rzucić okiem, wszędzie jedzą, piją, słuchają muzyki lub jadą tramwajami. Ruch tu znaczny, powozów i dorożek pełno, a gdy tylko słońce zajdzie, zaraz zapalają miejskie gazowe latarnie, tak gęsto jedna od drugiej o kilkanaście kroków stojące, że przy wieczornym zmierzchu spojrzawszy w ulicę, zdaje się ją widzieć uiluminowaną, jakby w jaką uroczystość.

Ponieważ-to był czwartek, dzień koncertu orkiestry Strausa w miejscowości dość oddalonej, zwanej Hiecing, wybraliśmy się więc *tramwajem* dochodzącym na samo miejsce. Ochotników podobnych nam było mnóstwo, tramwaj sunął się za tramwajem,

a w każdym tłok prawie trudny do zniesienia. Obok nas pędziły dorożki i powozy, wszystkich twarze były uśmiechnięte, rozweselone i we wszystkich ustach brzmiały jedynie pochwały dla Johana Strausa, mistrza tonów walcowych. I myśmy także podzielali to ogólne usposobienie, jechaliśmy przeszło godzinę, ale już za dwadzieścia centów od osoby, ciesząc się myślą o przyjemności, jaka nas czeka. Na nieszczęście, pewna nadzieja często zawodzi, i tu się podobnie stało. Przybywszy bowiem na miejsce, deszcz zaczął pokrapywać, chmury zaległy horyzont i zerwał się wicher, pewna wróżba wkrótce mającej nastąpić pogody. Szliśmy więc szparko ku ogrodowi koncertowemu, aby uprzedzić przy kasie z biletami liczne tłumy spieszące za nami. Pośpiech na nic się nie zdał, kasę zastaliśmy zamkniętą a kasyer oświadczył, że *pan* Straus w tej chwili powozem odjechał do Wiednia, gdyż z powodu niepogody koncert nie będzie miał miejsca. Nową więc milę drogi z powrotem zrobiliśmy do domu, przyrzekając sobie nierobienia nigdy wycieczek na muzyki, zależące od pogody.

Pobyt krótki w Wiedniu, jako tylko w przejeździe do wód leczniczych, nie dozwolił nam zwiedzenia ważniejszych osobliwości tej pięknej stolicy, elegancyą przypominającej Paryż, a o wiele pod każdym względem przewyższającej Berlin. Tu znać gust, smak estetyczny wysoko rozwinięty, powagę starożytności połączoną z wymaganiami nowożytnemi. Berlin zaś przypomina bardzo świeżo zbogaconego dorobkiewicza, który radby ze swojem mieniem każdego olśnić, zadziwić, obudzić zazdrość i wywołać pochwałę wielkiej zamożności. Gdzie spojrzeć w nim, wszędzie złoto przyświeca, klamki, baryery u wschodów, gałki, strzałki u sztachet, otoczenia żelazne ganków, napisy, obrączki przy murach, szyldy, wszystko to świeci pozłacaniem, jakby w fabryce drogi ten kruszec przyspasabiającej. W miejscach publicznych, na szklankach, filiżankach, spodkach, talerzach, wszędzie jeden zbytek złota rozsiany; w ogrodzie oszklonym przeznaczonym tanecznej zabawie a odwiedzanym tylko przez zamożniejszą klasę, bogactwo to rozsiane z największą szczodrotą, zdumiewa wielością, napchaniem, natłoczeniem, ale nie gustem, który dopiero i drogim kruszcom prawdziwą wartość nadaje.—Wiedeń wygląda jak elegant z wytwornym smakiem ubrany, Berlin jak bogacz z pierścionkiem drogocennym na każdym palcu, obwiedziony złotemi łańcuszkami, brelokami, lornetkami i zegarkami z obu stron kamizelki. Co do życia w Wiedniu nie jest ono tanie, ale i Berlin i całe Niemcy od wojny francuzkiej zapomniały o taniości nieraz nawet zdumiewającej. Dziś guldena przejeść można bez najedzenia się, a obiad wcale nie zbytkowy smaczny wprawdzie i dość obfity kosztuje rubelka i to z piwem tylko.—Są restauracye tańsze znacznie, ale te znać trzeba, co dla świeżego przybysza nie jest łatwem.

Przy wyjeździe z hotelu na drugi dzień do banhofu kolei zachodniej ku Alpom wiodącej, z jedną grzecznością i nadskokiem pożegnano nas. Powiózł nas omnibus miejski z kuframi i manatkami, a choć droga była długa, bo aż za Schönbrunn wiodąca, wynosząca więc blisko milę naszą, zapłaciliśmy za wszystko razem z czterema osobami półtora tylko guldena. Tragarz jednak hotelowy, który zawiózł rzeczy nasze na wózku do omnibusa o pareset kroków na stacyi stojącego zdarł nas niemiłosiernie, gdyż całego guldena kazał sobie zapłacić. Za półgodziny czasu ponętny to bardzo zarobek, niejeden nauczyciel lub nauczycielka i przez pół dnia nie cieszą się podobną korzyścią.

Okolica pałacu cesarskiego w Schönbrunn, szczególniej przy drodze pieszej bokiem idącej, jak przed dziesięciu laty tak i dzisiaj w jednem znajduje się opuszczeniu.—Ogród pałacowy wysadzany wysokiemi jak ściana szpalerami, krępowanemi i obcinanemi według raz przyjętego planu, wygląda pięknie i malowniczo, ale sztywnie, przymusowo jak człowiek z rękami skrępowanemi któremu odebrano wszelką swobodę ruchu. Chwilowo może się to podobać, ale nie zachwyca i nie pociąga. Podobne ogrody książąt i magnatów państwa w innej stronie Wiednia położone, bez porównania są wspanialsze i powabniejsze. Znać w nich naturę w całej pełni rozwoju, tylko przez sztukę pozbawioną dzikości.

O Rejchenhallu, głównym celu naszej wyprawy, napiszę później szczegółowo.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Deszcz to błogosławiony i w źródło dla mnie się zamienia, — odpowiedziała Anna kłaniając się.

Uśmiech szyderski był odpowiedzią obudwóch pań, które natychmiast wyszły.

Drzwi się jeszcze za niemi nie zamknęły, gdy Noémi zwracając się do matki powiedziała:

— Nieznośna ta Anna ze swojemi oburzeniami pruderyą wyrazem twarzy. Dewocya ogłupia to niezawodne.

Pani Drassart kiwnęła głową na znak uznania i rzekła.

— Czy znajdujesz ją zaniepokojoną?

— I bardzo, do tego stopnia, że dłużej męczyć jej nie chciałam. Mefisto będzie zadowolony?

— Czy myślisz, że opuści Paryż?

Noémi palcem czoła dotknęła.

— Któż może wiedzieć, co tam wre w tych żelaznych głowach bretońskich.

A dodała ciszej spuszczając woalik od kapelusza:

— I tych złotych sercach.

XIX.

NA POCHYŁOŚCI.

Amfiteatr zieloności ogrodu Jardin des Plantes, okrywa się przejrzystą zasłoną mgły wieczornej gdzie niegdzie przetykaną złotemi promieniami zachodzącego słońca, lekki wietrzyk płacze giętkie gałązki modrzewi, trawniki na wpół się przysłaniają siatką z pereł utkaną, pozostałością nie dawno spadłego deszczu, a wielki cedr ciemne linie swych majestatycznych konarów zarysowuje na gładkim i wspaniałym lazurze nieba.

Anna machinalnie przygląda się ze swego okna temu rozkosznemu obrazkowi, lecz twarzy jej żadna radość nie rozjaśnia i łatwo zgadnąć, że boleść serce jej przygniata. Nerwowe drżenie ściąga jej czoło zwykle tak pogodne, usta jej z jakąś goryczą się zaciskają i niewysłowiona żałość daje się widzieć w jej spokojnem i czystem spojrzeniu.

Bo też z głębi swej pustelni, Anna od miesiąca śledzi dzień po dniu, godzina po godzinie, za straszliwemi konwulsyami które wstrząsają Francyą i oblężonym Paryżem, bo też od miesiąca Anna nie widziała Henryka, nie miała wiadomości o Henryku. Listy do niego pisane zostały bez odpowiedzi, i Anna tak nieświadoma losu swego brata, jak Paryż losu wojsk swoich, Anna tak jak i Paryż przeczuwa, że to złowrogie milczenie straszliwe przepaście ukrywa.

Ta boleść podwójna przechodzi siły jeżeli nie odwagę młodej energicznej dziewczyny, gdyż w tej boleści żyje ona nie skarżąc się i nie narzekając przed nikim, tylko co wieczór ukrywa się w swym saloniku, siada w framudze wielkiego okna i czoło oparłszy na dłoni, obojętna na blaski zachodzącego słońca, płacze nad poniżeniem i upadkiem kraju swego i nad niewdzięcznością brata. I w myśli tak do niewdzięcznika przemawia: Gdzież jesteś?—mówi—dla czego stronisz ode mnie, jakież niebezpieczeństwo ci grozi?

I widząc, że równie jest bezsilną względem tej biednej, szarpanej ojczyzny, jak i tego brata, który ją niegodnie opuszcza, młoda dziewczyna zwraca zwolna myśl swą do Boga i pada na kolana w tym ciemnym kąciku, gdzie żaden wzrok ludzki za nią nie śledzi.

Tego dnia, właśnie gdy już była doszła do owej chwili wieczornego swego rozmyślania, osunęła się na posadzkę, ręce się jej złożyły, żałosne oczy wzniosła ku niebu, gdy ktoś z żywością do drzwi zastukał.

Podniosła się, zadrżała i rzekła:

— Proszę wejść.

Wszedł Henryk.

To był on, może bledszy jak zwykle, lecz zmrok zapadający rzucał już cień na wszystkie przedmioty a z lampy stojącej na stole padało światło niepewne i drżące.

Wspólnem porywem nie będącym w obyczajach ich poważnego kraju, brat i siostra rzucili się we wzajemne objęcia, poczem Anna Henryka do okna pociągnęła.

— Co dzień cię oczekiwałam — powiedziała ze słodkiem spojrzeniem, łagodzącem wymówkę zawartą w tych słowach.

— A myśl o tobie codzień mnie ścigała — odpowiedział Henryk, o mur się opierając.

— Wierzę, ci — mówiła Anna. — W tych czasach klęsk ciężkich uczuwa się potrzebę podzielenia się z kimciś rozpaczą swoją. Dlaczego nie przychodziłeś Henryku?

— Bo wypadki tak szybko po sobie następujące pochłaniały me życie, bo było mi wzbronionem wychodzić wśród dnia, jeżelim nie chciał być poznanym, wytropionym może, do wojska wstąpić zmuszonym.

Anna słuchająca go uważnie, mocno poczerwieniała.

— Więc ty się ukrywasz?. — drżącym zapytała głosem.

— Muszę — odparł gwałtownie Henryk — jestem wolny, to znaczy żołnierz z prawa, ale na szczęście nie z czynu.

Byłże to Henryk Darganec, ów wojowniczego ducha, śmiały, dzielny Darganec, który tak mówił teraz?

Z purpurowej jaką była, Anna nieznacznie stawała się bladą. Szybki rzut oka na zmienione rysy Henryka, te kilka słów zamienionych, wystarczyły dla stwierdzenia bolesnych podejrzeń, rozdzierających jej serce od chwili ich rozstania.

Między człowiekiem, którego opuszczała na bulwarze des Italiens, a człowiekiem przed nią od niechcenia o ścianę opartym, cała się utworzyła przepaść, i jednem spojrzeniem właściwem duszom wzniosłym, zmierzyła jéj ciemną głębię. Tak podróżny wśród mgły gęstej przechodzący spokojnie po nad alpejskie-

mi przepaściami, zadrży, gdy błyskawica rozdzierająca chmurę przerwie mglistą zasłonę i dozwoli mu ujrzeć jej dno straszliwe.

Anna drżała w całej swej wewnętrznej istocie, gdyż w téj chwili traciła ów spokój, któremu dotychczas wierzyć chciała.

— Pojmujesz jednak, że nie chciałem opuszczać Paryża, nie widząc ciebie, nie pożegnawszy się z tobą — mówił dalej Henryk głosem urywanym, — a głównie nie zapewniwszy się, że ty ze swej strony także odjedziesz do Quimperlé.

— Ach! więc opuszczasz Paryż? — zawołała Anna — kładąc machinalnie rękę na sercu, jakby chcąc wstrzymać jego przyśpieszone ruchy.

— Jutro.

— I gdzież jedziesz?

— Do Londynu.

Anna jeszcze bardziéj pobladła i spojrzała badawczo na brata.

— Henryku — powiedziała — w tych czasach, wśród tylu niepomyślnych wypadków, podobne postanowienie zda mi się być wielkiéj wagi i chciałabym znać jego powody.

— Jest-to zwyczajna podróż za interesami. P. Drassart i ja jesteśmy pogrążeni w oceanie interesów.

Westchnęła, a zbliżając się do Henryka, położyła mu z czułością rękę na ramieniu i w te odezwała się słowa:

— Henryku, przyrzekłeś mi uroczyście, przysiągłeś nawet nie ukrywać przede mną żadnych ważniejszych interesów któreby życie twoje na inne rzuciły drogi, te które cię teraz do Londynu powołują właśnie tego rodzaju być muszą. Wytłomacz się jasno, powiedz mi wszystko, błagam cię o to.

— Wszystko ci powiedziałem -- odrzekł Henryk udając obojętność.—Pojmujesz że niepodobna mi jest wprowadzać cię w ten labirynt, w którym olbrzymim krokiem od miesiąca postępuję za tym człowiekiem, mającym prawdziwie genjusz do interesów: zgubiłabyś się w nim. Są chwile, w których i ja się tak gubię, że postanowiłem iść na ślepo za moim zwierzchnikiem, będąc przekonanym, że do majątku nas prowadzi.

— Chcę wszystko wiedzieć, — powtórzyła Anna drżącym głosem, — w jakibądź sposób wytłomacz mi ten interes, tę podróż, powiedz mi, co wiesz sam. Błagam cię. Nie możesz dotrzymać danego słowa przysięgi twojej?

— Siostro Anno, doprawdy że masz upór ciotki Katarzyny — powiedział Henryk, rękę w kieszeń paltota wsuwając. — Masz, — dodał, podając jej szeroką kopertę — oto jest plan skreślony przez pana Drassart, moja droga, moja missya, wszystko tam jest wytknięte, oznaczone. Nic nie zrozumiesz w tych układach, lecz będziesz zadowoloną.

Anna wzięła papier, podeszła do stolika, podniosła lampę która jasne rzucała światło, wyjęła z koperty papier złożony we czworo, rozłożyła go i uważnie przeglądać poczęła.

W miarę jak czytała, policzki jej bladły, ręce się trzęsły, pierś się wznosiła coraz silniejszym ruchem i widać było, jakby łzy pod powiekami się zbierające. Nagle wydała okrzyk zgrozy, zwróciła się do Henryka, utkwiła w nim oczy łez pełne, a ręką w skazując na papier:

— Ależ to hańba! — szepnęła głosem złamanym.—

Henryk się uśmiechnął i lekko ścisnął ramionami.

— To hańba Henryku! — powtórzyła Anna z uniesieniem.— Henryku, ten człowiek ciągnie ciebie w haniebną przepaść. On! dostawca armii! ten handlarz, ten przemysłowiec!

— Dla czegożby nie, Anno?

— Bo nie sprzedaje się razem mydła i broni; są w tym programie słowa, które mnie przerażają. Ten człowiek robi tylko spekulacyę, najnikczemniejszą spekulacyę, znam go dobrze, wyzyskuje na swą korzyść nieporządek panujący obecnie w administracyi wojennej, do której brat jego należy. Dla mnie, samo to wyszczególnienie tych zamian, targów, kombinacyi przejmuje mnie dreszczem. Wszystko tak zimno, tak matematycznie jest tu obliczone, lecz w słowach dających się domyślać ukrytych zamiarów. Henryku, jest w tem postanowienie bardzo wyraźnie wyciągnąć ogromne zyski korzystając z ogólnego obłędu. Czytam to wyraźnie między wierszami pisma tego.

— Mówisz Anno o tem czego nie znasz wcale,— zawołał Henryk gwałtownie, papier z rąk jej odbierając; — interesa są interesami, i niemi być muszą.

— Henryku! Henryku! fabrykant wody Kolońskiej ma dostarczać broń dla armii naszej!

— Mówiłem ci, że to jest genjusz handlu.

— Spekulacyi, powiedz raczej... Ach! Francuz w obecnej chwili spekulujący na Francyi, jest istotą nędzną, pogardy godną tylko!

Henryk to bladł, to czerwieniał, lecz zimno odpowiedział;

— Mniejsza o pogardę, powodzenie wszystko uprawnia.

Anna złożyła ręce i zawołała:

— Henryku! ty się już nigdy nie modlisz?

— Nie, — odrzekł pogardliwie — nie mam doprawdy na to ani czasu ani ochoty.

— Ach! otóż dlaczego uciekałeś odemnie, — zawołała Anna załamując ręce. — Człowiek ten zapanował nad twoim rozumem, zniszczył wiarę twoją.

— Ten człowiek przyjmuje mnie do spółki w swych planach majątkowych, nic więcej.

— I tybyś przystał na wzbogacenie się w tej chwili, Henryku? Ach! błagam cię, zastanów się nad tym podejrzanym interesem, do którego nazwisko twoje przywiązują; nie pozwalaj wpływać na siebie i rządzić sobą temu człowiekowi bez Boga i bez sumienia. On cię wciąga, wciąga w przepaść! Oprzyj się, lub będziesz zgubiony!

— Dość tego! — przerwał Henryk z tłumionym gniewem, -- nigdy nie trzeba wtajemniczać kobiet do interesów, i miał słuszność pan Drassart zalecając mi, abym dziś jeszcze wyjechał. Mimo tego co mi mówił, chciałem cię widzieć, uściskać, a ty mi tu robisz scenę melodramatyczną. Nie wiedziałem, że byłaś do tego zdolną i obwiniam te wszystkie wypadki rozdrażniające nerwy twoje. Dość tego, mówię ci, jeżeli nie chcesz, abym żałował żem tu przyszedł.

Wziął za kapelusz i zbliżył się do Anny nie mogącej przemówić i słowa.

— Żegnam cię, — powiedział szybko, całując ją w czoło, — będę pisał do ciebie, do Quimperlé, jak tylko stanę w Londynie.

I nie obracając się nawet, aby raz jeszcze na nią popatrzeć, wyszedł z pokoju.

Anna pozostała przez kilka chwil, jakby przybita ciężarem cierpienia tak niespodzianie na jej serce spadłego.

Czując, że w głowie jej się kręci, niepewnym krokiem postąpiła ku oknu i otworzyła je. Powietrze nagle ją otrzeźwiło, a wzrok jej zatrzymawszy się na alei przed nią się rozciągającej, spostrzegł przechodnia oglądającego się niespokojnie w około siebie. Był to Henryk, który zmyliwszy drogę, powracał szukając drzwi wchodowych.

Anna pobiegła do szafy stojącej wgłębi saloniku, drżąca jej ręka otworzyła i szybko włożyła okrycie i kapelusz.

— Pójdę, — szepnęła, — w pokorze, przed nim, będę go błagać, możem ubodła jego miłość własną mojem oburzeniem. Natchnij mnie! wesprzyj, o Boże!

Wyszła i pobiegła w ślady Henryka, który nareszcie drzwi odszukawszy szybkim krokiem szedł ulicą Cuvier.

XX.

NOWA INTERWENCYA.

Henryk oddalający się w stronę Panteonu, szedł bardzo prędko, lecz zdawało się że Anna miała u nóg skrzydła, gdyż mimo znacznej odległości oddalającej ją od brata z ócz go nie traciła. Gdy przechodził ulicą Descartes, na rogu ulicy Laplace uczuł rękę wsuwającą się pod jego ramię. Odwrócił się szybko i ujrzał twarzyczkę tak zmienioną, tak pokornie kochającą, wyczytał we wzroku na nim spoczywającym tyle cierpienia i miłości, że mimowolnie przycisnął tę zuchwałą rączkę do piersi swojej.

— Henryku, — wyszeptała Anna, — my nie możemy tak się rozstawać.

Zatrzymała się zdyszana, nie mogąc iść już prawie, Henryk wstrzymał swe kroki.

— Anno, dla czego stajesz w poprzek mojej przyszłości? — odezwał się głosem znacznie złagodzonym—dla czego starasz się niewczesną deklamacyą zneutralizować moją siłę działania? Przeznaczenie rzuciło mnie na tę drogę, ty nic tu nie możesz, nikt w świecie na to nie poradzi.

Umilkł i szedł zwolna dalej ulicą de la Montagne Sainte Geneviéve, na końcu której odbijała się na jasnem niebie elegancka i dziwaczna sylwetka starożytnego kościoła Saint Etienne du Mont.

Ostatnie blaski zachodzącego słońca zwiększały jeszcze fantastyczny effekt tego pięknego gmachu, różowo oświetlając pyszne szyby, pod któremi otwarte były małe sklepione drzwiczki, stanowiące z tej strony wejście do kościoła.

— Czy myślisz, że ja nie cierpiałem? — ciągnął dalej Henryk, zatrzymując się znowu, aby Anna mogła odpocząć—czy myślisz że mnie mało kosztowało pozbycie się tych więzów moralnych, które mi już były aż w głąb ciała wrosły i które chociaż piękne nazwy noszą, niemniej pozostają zawsze dotkliwemi więzami; czy myślisz że dostatecznem było jedno wysilenie aby zrzucić z siebie jarzmo Boże? Lituj się nade mną, możesz się litować, lecz nie próbuj nawet powstrzymywać niezależności drogo nabytej; nie dotykaj się więcej wolności mojej! W interesie, który mi otwiera podwoje fortuny, nie mogę jak tylko siebie samego się radzić.

— To też nie usłyszysz już ani słowa potępiającego, ani wymówki żadnej, — odpowiedziała Anna głosem pełnym słodyczy—mogę nie pochwalać twego postępowania, potępiać cię nawet, nie przestanę jednakże cię kochać i szanować w głębi mojego serca. Tak, przebaczam ci naprzód wszelkie słabości, a nawet występki.

Westchnęła i w niebo spojrzała załzawionem okiem.

— Bądź wolny — lecz uczyń mi ostatnią jeszcze łaskę: wejdź ze mną po raz ostatni do tego kościoła, gdzie tak gorąco za ciebie się modliłam. Pragnę, abyśmy się tam rozstali, bez goryczy, bez żalu, przepaścią od siebie rozdzieleni, a jednak tak serdecznie tak wiecznie połączeni z sobą. Henryku! nie odmawiaj mej prośbie, ostatniej!

— Chodźmy, — odpowiedział Henryk z niecierpliwością; — lecz nie więcej jak na pięć minut.

Wstąpili razem na zniszczone już schody i weszli do kościoła którego wysokie białe sklepienia już u góry cieniami wieczoru się okrywały, przez co zdawało się, jakby jeszcze bardziej wyniosłe były. Anna postąpiła parę kroków boczną nawą kościoła i weszła do głównej nawy zupełnie już pustej a tam uklękła wsparta o krzesło naprzeciw wielkiego ołtarza;

Henryk ponury stanął przy jej boku znudzonem okiem rozglądając się po kościele.

Anna odwróciła się i zobaczyła go w tej postawie zwykłej tym, którzy w kościele za obcych się uważają.

Przysunęła się bliżej.

— Na kolana! — szepnęła, — zaklinam cię, Henryku; uklęknij na chwilkę tylko!

Widząc że stał nieruchomy, schwyciła go za rękę.

— Bracie, chwilkę jedną! — błagała — ukorz kolana, jeżeli nie pychę swoją: wszakże tu jest Bóg!

W głosie i spojrzeniu Anny było coś nadziemskiego.

Henryk ugiął kolana a potężna jego głowa powoli na piersi się pochyliła.

Anna, ściskając rękę zwilżoną łez jej gorących rosą, utkwiwszy w ołtarz jedno z tych spojrzeń wymownych, zdających się przyciągać bóstwo do duszy ludzkiej, wyszeptała słowa rzewnej modlitwy, którą, myślała, że Bóg jeden słyszeć będzie, lecz ta tryskająca zgłębi jej gorącego serca drżała na jej wzruszonych ustach i bezwiednie podnosiła dzwięk i uroczystość jej głosu.

— O mój Boże! — mówiła, — zlituj się nad nim, wiara jego słabnie, nie wzywa cię już o Panie, i dla tego naraża duszę swą i honor. Jutro zdradzi może kraj swój własny, jutro hańba może niewidzialne piętno wyryje na jego czole i tylko imię poczciwego człowieka mu zostanie. A jednak serce jego jest prawe. O Boże! daj mu uczucie poświęcenia; przemów do niego, Boże mój! przemów do niego!

Głośne łkania tłumiły głos jej, lecz jeszcze można było słyszeć jak powtarzała ostatnie słowa: „Przemów do niego, Boże mój! przemów do niego!

Pięć minut upłynęło, dziesięć, i dwadzieścia tak samo, Anna klęcząc pochylona i trzymając ciągle w swych drobnych rączkach rękę Henryka, wciąż płakała i powtarzała gorącą swą prośbę.

„Przemów do niego, Boże mój!

Nagle Henryk podniósł głowę i wtrząsnął się cały, a pochylając się ku siostrze:

— To było hańbą — wyszepnął!

Łkanie, rodzaj tłumionego krzyku, było odpowiedzią Anny.

— To było hańbą! — powtórzył — Anno! uratowałaś mnie od hańby!

— O mój Boże! — głośno załkała Anna.

Henryk, potarł ręką swe szerokie czoło, i mówił głosem cichym, wzruszonym i głębokim.

— Zasłona się rozdarła, oczarowanie minęło, teraz już widzę jasno, to było nikczemne!

— Tak! — wyjąknęła Anna.

Nastało długie milczenie.

Krew kipi w żyłach moich! — zawołał znowu Henryk prawie głośno — muszę rozerwać ten haniebny kontrakt. Bądź zdrowa Anno!

— Do wieczora — odrzekła Anna, głosem przejmującym, rękę jego ściskając — wracaj do nas.

— Długo mnie nie będzie Anno, bardzo długo.

— Mniejsza o to.

— Nie będę mógł wrócić przed jedenastą.

— Całą noc, będę czekała na ciebie, jeśli potrzeba.

— A więc do wieczora!

Henryk się schylił, przyłożył usta do paluszków zaciśniętych na jego ręku, wyciągnął ją zlekka, pozostał jeszcze chwilę ku ziemi pochylony i nieruchomy, a powstawszy, pewnym krokiem udał się ku drzwiom.

d. c. n.

SŁÓWKO
O TEGOCZESNĖJ POEZYI WŁOSKIĖJ

PRZEZ

Joannę Belejowską.

II.

Poeci włoscy od czasu niepodległości półwyspu.

(Ciąg dalszy.)

Ponieważ zamierzyliśmy mówić tu tylko o poezyi włoskiej od czasu niepodległości i zjednoczenia Włoch, zatem nawet mówiąc o wieszczach, którzy jeszcze przed wojną z 1866 roku drukowali poezye swoje i głośną zasłynęli sławą, przytoczymy tylko utwory ich wydane w tym czasie.

W tej kategoryi pierwsze miejsce należy się bez zaprzeczenia sędziwemu wieszczowi, Giovanni Prati, twórcy *Edmenegardy* i *Ariberta*. Czasowo zajęcia polityczne wydarły go poezyi, lecz nie mogąc się rozstać z ukochaną sztuką, pochwycił znów wieszcze pióro, i obok swego wybornego przekładu Eneidy, pisał poezye nie ustępujące w niczem znakomitym utworom, jakie ogłaszał w latach młodocianych i w dojrzałym wieku. Najznakomitszym z tych najnowszych utworów Prati'ego jest poemat p. n. *Armando*.

Jest-to rodzaj autobiografii, opowieść wpół-fantastyczna, wpół-rzeczywista, w której, sprzecznie przyjętemu zwyczajowi, portret nie jest tylko upiększonem odtworzeniem modelu. Podlegając jak tylu sławnych męczenników myśli częstym przystępom melancholii, gdyż Prati tak przesadził u bohatera swego to chorobliwe usposobienie, iż ono graniczy prawie z halucynacyą i szaleństwem. Dotknięty jednem z tych wielkich nieszczęść, które odejmują pewnym jednostkom hart duszy i siłę moralną, Armando młody jeszcze, ale bardzo zniechęcony do życia błąka się tu i owdzie, szukając spokoju którego znaleść nie może, i ta wędrówka przez najcudniejsze okolce Włoch służy za tło do rozlicznych przygód, cudownych obrazowań i wymownych odwoływań się do nieśmiertelnych wspomnień.

Rzym jest ostatnim kresem tej samotnej wędrówki, i tu kończy się pierwsza część poematu, którą możemy nazwać rzeczywistą, odnośnie do następnej, czysto fantastycznej, Jakkolwiek poemat ten ma niejakie podobieństwo z arcydziełami wieszczów angielskich i niemieckich, jednak obok tego cechuje go ustrój dziwnie oryginalny, całkiem właściwy włoskiemu poecie. Nie myśląc naśladować Shakespeare'a, Goethe'go ani Byrona, Prati odmalował samego siebie, swoje szyderskie zwątpienie i uganianie się za wiekuistą prawdą, a z głębi duszy jego wysuwają się ustępy jakby podsłuchane z Fausta i Manfreda, a nawet ze słynnej sceny grabarzy w Hamlecie. Lecz tak w poemacie Armando, jak w innych utworach swoich, Prati jest zawsze i przedewszystkiem sobą, to jest najznakomitszym lirykiem i zawsze dopisuje mu wzniosłe natchnienie, pod wpływem którego napisał tyle pięknych ballad i rozrzewniających legend. Nigdy może talent wielkiego poety tak pełnym nie zajaśniał blaskiem i pod tak różnorodną nie objawił się postacią. Z jakże-to wielką prawdą wcielał się we wszystkie przedstawiane osobistości, czy to czytamy śpiewkę młodej cyganki, czy hymn starego napoleońskiego żołnierza! Powabna ta *Zingana* jest bohaterką małego dramatu, który kończy się nader smutnie, a autor maluje nam ją doskonale w tych kilku wierszach, odznaczających się jakby metalicznym rytmem.

„Ogorzała córa Hiszpanii, wiodę włóczęgoskie życie. Tak we Francyi jak w Niemczech objawiałam półgłosem wyroki przeznaczenia. Jestem cyganka Pakita, urodziłam się w Kadyksie na morzu."

Słysząc strofkę tę odczytaną z właściwym akcentem włoskim, wyrazy tak umiejętnie są uszykowane, iż zdaje nam się, że słyszymy suchy odgłos kastaniet i patrzymy na zwinne ruchy tego pełnego życia tańca, porywającego tak nieprzepartym urokiem.

Z kolei następuje obraz całkiem innego rodzaju; wielka postać uroczej Pakity rozwiewa się zwolna a w jej miejsce ukazuje się stary żołnierz „szczątek bohaterskich zastępów" zdolny zanucić hymn patryotyczny o starej gwardyi „która umiera ale nie poddaje się."

Viva la guardia che va alla morte
Ma non si rende.

Po dwóch przytoczonych fragmentach, następują inne równie piękne ustępy, z pomiędzy których odznacza się śpiew majtków, pasterza, grabarza, następnie głosy żywiołów i dwa prześliczne ustępy o starożytnej i tegoczesnej Sycylii—o Romie i jej podwójnej historyi. Wielkie ruiny mają ten przywilej iż w wielkich duszach wzniosłe budzą natchnienie, to też wiersze opiewające wieczne miasto, należą do najpiękniejszych. W obec tych starożytnych pomników, tych sterczących jeszcze świadków minionych wieków, wśród tych rozległych obszarów trapionych febrą i palonych słońcem, dusza zatapia się, że tak powiem, w sobie, i do pewnego stopnia staje się zdolną zgłębić niezbadane tajemnice życia i nicości. Słynny swój hymn do życia, napisał Prati przechadzając się po ponurem *agro romano*; przytaczamy strofę w której z dziką energią przedstawia dwojaką postać rzeczy ludzkich.

„O! tajemnicze życie! któż mógłby zaufać złudnym obietnicom twoim! Wokoło ciebie szaleją straszne uragany, a nikt zdaje się nie wie o tem. Tuż obok ciebie unoszą się grobowe widma i szalone rozkosze... a nikt ich nie widzi. Wiatry roznoszą daleko zapach przepysznych twoich ogrodów, biała twoja tunika zachwycające wydziela wonie, lecz obok przeczystej lilji jaśniejącej w twej koronie, sterczą kwiaty zabójczego soku."

„I rzeczywiście życie moje jestże jednym ciągiem zmiennych losu kolei, pomyślnych lub nieszczęśliwych, w których za zwyczaj złe i dobre w równym mięsza się stosunku, ale często człowiek sam pomaga do swego nieszczęścia, odrzucając w przystępie szału ostatnie środki ratunku."

Właśnie w chwili, gdy Armando wymawia te smutne słowa, iskierka nadziei i widmo szczęścia mają mu zabłysnąć. Parlo, sędziwy mistrz, znoszący wesoło dolegliwości podeszłego wieku, wprowadza do domku swego błędnego poetę, a córka jego Arabella budzi w nim tkliwe i głębokie uczucie, które podzieli niebawem.

Drugą część poematu rozpoczyna hymn miłości: zdaje się że Armando wyzwolił się nareszcie od prześladującego go dotąd fatalizmu, dzięki miłości Arabelli.

Pewnego dnia zabłąkał się z Arabellą w jednym z tych wielkich rozkosznych ogrodów, jakie w Rzymie tylko widzieć można; oboje słuchają w milczeniu niezliczonych głosów przyrody, a oblekając w ciało świeże te złudzenia, poeta każe przemawiać upajającemi słowy, pszczółce, motylowi, róży... Lecz i ten dzień ma niestety! zakończyć się jak inne, upadając pod ciężarem szczęścia i znużenia, Armando zasypia snem głębokim, zobaczmy jakie są senne jego marzenia.

Fantastyczny ten dramat rozpoczyna się dziwną sceną odgrywającą się w dolinie Sabiny. Mastragabito, duch zły, siedzi na murawie i śpiewa przygrywając sobie na gitarze, a jednocześnie straszne błyskawice przesuwają się w około i daje się słyszeć odgłos grzmotu przerywany hukaniem sowy. Wygłosiwszy swe wyznanie wiary w wierszach tchnących dowcipnem szyderstwem, upadły ten duch przywdziewa ubiór hiszpańskiego hidalga i wraz ze swoim służącym Barbariccia, biegnie do kościoła w którym modli się Arabella. Chce on zazdrością dręczyć

Armanda, który też przechodzi we śnie wszystkie męczarnie zazdrości, jakie nawet po przebudzeniu pozostawią mu bolesne, niezatarte wspomnienia. Piękny i elegancki Mastragabito zamierza kusić Arabellę pod trzema postaciami. Tak więc po hiszpańskim hidalgo pojawia się książę mołdawski i wielki artysta Cardenius, ale młoda dziewica, otumaniona z początku blaskiem bogactwa i sławy, w końcu jednak za każdym razem umie ujść zastawionych sideł. Mastragabito zostaje wyśmiany przez lokaja i podwładnych, a hańbiący jego upadek przedstawiony jest wybornie w wielkiej scenie, w której wszyscy dawni jego dworacy i pochlebcy, podzieleni na oddzielne grupy, przechodzą przed nim, obrzucając upadłego tyrana pogardą i zniewagą.

Cała ta część książki napisana jest prozą, stylem tak jędrnym i porywającym zarazem, jakim Prati włada tak wybornie; miejscami spotykamy prześliczne pieśni liryczne przedstawiające straszny sceptycyzm szarpiący duszę Armanda. To senne marzenie nieszczęśliwego Armanda, zamienia się powoli w gwałtowną gorączkę; długi czas przeleżał w malignie. Gdy już wróciła mu przytomność, zobaczył Paola i Arabellę czuwających przy jego łożu. Wierna przyrzeczeniu, młoda dziewica gotowa jest oddać mu rękę, choć zna smutną jego przeszłość, a stary snycerz postanawia, że młodzi kochankowie odbędą podróż pod jego opieką, w zupełnie przeciwnym kierunku, niż opisana na początku poematu. Armand sam zwiedził Rzym, Neapol i Sycylię, teraz mają zwiedzić Włochy północne, a w miarę zbliżania się do ziemi rodzinnej, zapał poety potęguje się, natchnienie wzmaga. Nie zatrzymując się w Wenecyi, podróżni nasi, niezrażeni wzburzonemi falami Adryatyku, śpieszą podziwiać dzikie i malownicze okolice Dalmacyi i Czarnogórza. Lecz Armando pała żądzą zwiedzania coraz nowych horyzontów, i choć przy boku ukochanej, rzadko tylko doznaje przelotnych chwil szczęścia, nigdy i nigdzie nie zazna spokoju, i szarpany sprzecznemi kolejami losu, nieszczęsny marzyciel ginie w głębi fal podczas rozszalałej burzy.

Prati przeszedł sam siebie opisując te szamotanie się ze śmiercią, rozwiązanie jest przygotowane i trzymane w zawieszeniu nader umiejętnie i zręcznie, tak że jeszcze w przeddzień śmierci można przypuszczać szczęśliwy koniec.

Nigdy jeszcze Prati, w żadnym z utworów swoich, nie nagromadził tyle prześlicznych ustępów, ale też w żadnym może nie daje się uczuć taki brak jednolitości i związku. Jest tu pełno prześlicznych zwrotów, które możnaby drukować oddzielnie, i poemat nicby na tem nie stracił. Sen Armanda n. p. służy za pozór do pięknych dialogów wypowiedzianych prozą, lecz te nader dowcipne rozprawy nie mają nic wspólnego z bezładnemi majaczeniami powstającemi skutkiem maligny, a co więcej i sam bohater nie budzi zdaniem naszem wielkiego zajęcia. Wyjąwszy scen głównych, w których łatwo poznać samego autora, inne ustępy ukazują nam tylko samolubnego maniaka, wywołującego raczej odrazę, niż współczucie. Zakończenie poematu, ta straszna śmierć Armanda ginącego w otchłaniach wzburzonej fali właśnie w przeddzień ślubu, narzekania Arabelli, gdy się dowiaduje o tej strasznej katastrofie, utyskiwania sędziwego snycerza, wszystko to jest okropne i oddane po mistrzowsku, a jednak pewnie niejeden czytelnik powie sobie, iż wielkie to szczęście dla pięknej Rzymianki, że nie zawarła dozgonnego związku z takim postrzeleńcem. Tak więc zdaniem naszem pod względem ogólnego pomysłu, można wiele zarzucić poematowi *Armando*, lecz z drugiej strony jest to utwór noszący na sobie cechę prawdziwego geniuszu, i musi zająć każdego czytelnika mającego choćby najsłabsze poczucie poetyczne, tem więcej, że pod pewnym względem poemat ten ma niezaprzeczoną wyższość nad dawniejszemi utworami genialnego wieszcza.

(d. c. n.)

OGRODY OWOCOWE.

PRZEZ

El. Orzeszkową.

(Ciąg dalszy).

Są to klęski kobiecego świata dość znane aby nad objawami ich długo rozwodzić się trzeba było. Każdy wie doskonale o tem, że kobiety dostatnie nudzą się straszliwie, że nuda ta popycha je ku zbytkownym strojom, płochym zabawom, rujnującym podróżom, ku wszystkiemu słowem, co zadawalnia nadmiernie wybujałą próżność, nadweręża dobrobyt materyalny rodzin, czystość obyczajów, że nakoniec w skutek sposobu życia przejętego nawskróś rozkładającym narkotykiem wrażeń niezdrowych, cierpień tajonych, rozrywek, które zadają ciężkiego mozołu więcej niż przynoszą prawdziwych przyjemności, są one podległemi mnóstwu słabości i zniedołężnień. Wszystko to jest bardzo powszechnie znanem, w pismach i mowie wytykanem, wyszydzanem, gromionem, a jednak, o ile przestroga, satyra i inne tym podobne środki używane przez ludzi pragnących na lepsze drogi skierować swe społeczeństwo, pożytecznie wpływać mogą na usposobienia jednostek, o tyle radykalnej i ogólnej reformy dokonać zdoła tylko podstawowa przemiana dotychczasowego sposobu życia kobiet, przemiana, któraby myślom ich, uczuciom i wyobraźni praktycznej i zarazem wzniosłej dostarczała podniety, woli i siłom dała pole należytego działania, napełniła i zabarwiła dnie ich puste dziś i blade, a przez to wygnała z nich gryzący i rozkładający pierwiastek nudy i próżniactwa. Dla praktycznego rozwiązania tej części zagadnienia przedstawia się trudność pozorna.

Czem zapełnić, jak zająć dnie istoty ubłogosławionej od kolebki dobrami ziemskiemi, nie potrzebującej troszczyć się o nie, posiadającej materyalnych zasobów dosyć nie tylko na zaspokojenie codziennych potrzeb, ale na dostarczenie sobie mniejszego lub większego zbytku? Nowe pomysły i świeżo torowane drogi ukazujące kobietom ubogim pola zbawiennej dla nich działalności, jej nie przynoszą nic pożytecznego. Nie potrzebuje trudzić się nauczycielstwem ani rzemiosłem, to też ani pomyśli o trudnieniu się zajęciami temi, które nie odpowiadają bynajmniej warunkom i obowiązkom przywiązanym do społecznego jej położenia. Na talent jakiś artystyczny liczyć wiele nie może; bardzo wyjątkowe bowiem organizacye posiadają go w takiej mierze, aby istnienie ich mógł on zasilać stałym i obfitym pokarmem. Nauka jest rzeczą arcypiękną, ale oprócz tego że zamiłowanie w niej dość głębokie, silne aby nieustannie działającą sprężyną życia było, tak jak i artystyczny talent, stanowi cechę umysłów i charakterów wcale niepospolitą, nie należy jeszcze przywiązywać wielkiej wagi do tak zwanego kształcenia się umysłowego, któremu nie towarzyszy żaden odpowiedni objaw życiowy. Teorya bez praktyki nuży szybko organizacye żądne życia i czynu; na jednego prawdziwego mędrca tworzy ona stu pyszałków i pedantów, którzy proste przeczytanie naukowej książki uważają za zdobyty patent na wielkość i gardzenie resztą śmiertelnych. Pozostają dzieci. Ale dzieci czy to drobne czy dorastające nie zabierają matce ani połowy rozporządzalnego jej czasu, matce szczególniej którą z jednej strony wspomagają i wyręczają sługi z innej nauczyciele i szkoły.

Pozycya tedy rozpaczliwa na pozór. Rozpaczliwą byłaby ona istotnie, gdyby nie to, że kobieta dostatnia jest *panią domu*. Dom kobiety ubogiej, to najczęściej szczupła izdebka o czterech pustych, milczących ścianach, albo parę pokoików, które zagubione pomiędzy rojowiskiem podobnych im mieszkań miejskich, związane są z zewnętrznym światem drobnemi tylko i nielicznemi nićmi otrzymywanych i wywieranych wpływów. Mieszkańcy tych pokoików—to mężczyzna odchodzący do zajęć swych na dzień cały, to jedna lub co najwięcej dwie sługi i dzieci, dla których to właśnie pożytku i dobra, kobieta, wbrew głosom oburzającym się przeciw temu, pracować nieraz musi i powinna za domem.

Dom kobiety dostatniej, — gospodyni wiejskiego dworu,—to liczne grono sług i domowników; to szeroki obszar gruntu użyźnienia i przyozdobienia potrzebujący, to liczne związki pokrewne i towarzyskie, które pojęte nie jako środek dla samego li bawienia się i zadowolenia próżności, przedstawiają wielką sumę otrzymywanych i wywieranych wpływów, to rozgałęzione interesa rodziny i utrzymanie szlachetnej jej godności, to nakoniec źródło przykładu i zachęty, bodziec dla oświaty i umoralnienia pewnego zakresu przestrzeni, pewnego koła ludzi, węzeł, w którym szacowna tradycya spaja się i godzi ze zbawiennym postęp em.

Oto zadania, czynności i cele, nie wszystkie jeszcze może, które wiążą się z szerokiem, rozumnem i szlachetnem pojęciem *domu* kobiety dostatniej, tem bardziej bogatej. Jeżeli obraz ten, nakreślony w głównych i ogólnych tylko zarysach, dopełnimy mnóstwem szczegółów, które pociąga za sobą praktyka codziennego życia, ujrzymy, że życie to codzienne wypełnione być może po brzegi wszystkiem, czego istocie ludzkiej potrzeba; aby mogła ona rozum swój, uczucia, całą dopominającą się o użycie energią swą zużytkować na pożytek i szczęście swoje i innych.

Czy kobiety dostatnie, majętne, nie zajmują się teraz wcale nigdy, domami, na których czele postawiły je urodzenie lub okoliczności? Owszem, niektóre z nich pełnią tak zwane domowe zajęcia, ale zajęcia te a szczególniej sposób ich wykonywania są takiej natury, że można je spokojnem sumieniem pomnożyć niemi liczbę trzech poprzednio wymienionych klęsk niewieściego życia. Imię tej czwartej klęski: drobiazgi. Kobieta majętna, która w skutek czynniejszego lub po prostu gderliwszego i do skąpstwa skłonniejszego przyrodzenia swego, uczuwa popęd do zatrudnień gospodarskich, dom swój, wszystkie jego interesa i przyjemności umieszcza w śpiżarni. Śpiżarnia, oto wszystko. Po zanią nic uwagi jej nie zwraca. Za łyżkę masła, za ogarek świecy lub kwaterkę mąki gotowa głowę własną położyć, co najmniej boryka się o te cenne przedmioty z domownikami od rana do nocy, dla zaoszczędzenia ich odbywa w ciągu dnia tak nieustanne i nużące peregrynacye po domu, tyle chodzi, gderze, dogląda i podpatruje, tak gniewa się i *irytuje*, że wieczorem czuje się z sił opadłą i najświęciej przekonaną, że pracowała gorliwie i zapracowała bardzo wiele. Niekiedy zamiast śpiżarni albo obok niej, w planie dziennych zatrudnień swych umieszcza przyozdabianie salonu lub saloniku. W tedy mozolnie wywleka na siatce wzory firanek, upina je nad oknami, trawiąc codziennie kwadranse i godziny na odmienianiu i doskonaleniu kształtu ich festonów: lub też hoduje wazonowe rośliny, całe ranki spędza nad oczyszczaniem zeschłego liścia, mizernych pni i łodyg, o podlewanie ich i sposób ustawiania po całych dniach toczy z domownikami rozmowy i spory, poczem usypia

zmudzona śmiertelnie firankami i roślinami, ale pocieszająca się przeświadczeniem, iż spełniła godnie zadanie swe, napełniając dom, którego jest panią obowiązującym niewiastę wszelką, żywiołem wdzięku i poezyi.

Wszystko to dobre jest w swoim czasie i potrzebne we właściwej mierze, ale podniesione do wysokości jedynego obowiązku, rozpostarte na przestrzeni całego życia, sprowadza na toż życie zalew drobiazgów, zniża poziom umysłów, kwasi charakter, zakrywa sobą widok rzeczy ważnych a zaniedbywanych. Oszczędzając kilkanaście groszy, najwyżej parę złotych codziennie na maśle i mące, dodając mieszkaniu swemu wątłą i wątpliwej estetycznej wartości ozdobę siatkowej firanki i zielonej łodyżki, z ciałem i duszą zagubiona w drobnostkach tych, pani dostatniego domu nie spostrzega, ile dom ten traci na bogactwie i prawdziwej piekności, przez pozostawienie odłogiem innych gałęzi gospodarstwa, przez zaniedbywanie zasobów naturalnych gruntu i miejsca, które uprawiane, wyzyskiwane nadałyby gospodarstwu całemu postać szeroką, produkcyjną i przez samo już wezbranie życia i działalności — piękną.

Jedną właśnie z takich gałęzi gospodarstwa wiejskiego szerokich i produkcyjnych a przez gospodynię wiejską zaniedbywanych — są owocowe ogrody.

Zamykając się w granicach traktowanego przedmiotu, pomijam rozliczne gałęzie produkcyjnego gospodarstwa kobiecego, jak np. hodowanie na szeroką skalę wedle natury i potrzeb miejscowości drobiu i warzywa, pomnażanie i doskonalenie gatunków trzód dających nabiał, wełnę i wędliny, wyrabianie z trzech materyałów tych licznych i udoskonalonych przedmiotów zamiany, pielęgnowanie i ulepszanie gatunków kwiatów i krzewów, nie w kilku pokojowych wazonikach ale, jak komu starczy, na gruncie tylko, czy na gruncie i w cieplarniach i inne tym podobne zatrudnienia, które przynosząc materyalne zyski, służąc i do uwygodnienia i do prawdziwego upiększenia domowego bytu, mają prawo nazwać się produkcyjnemi. Odkładając obszerniejsze uwagi nad zatrudnieniami temi do dalszego czasu, ograniczam się teraz pytaniem: dlaczego gospodynie wiejskie nie podtrzymują ogrodów owocowych już istniejących, nie wytwarzają nowych, coraz obszerniejszych i doskonalszych? Na zapytanie to słyszymy trzy odpowiedzi: rzecz to kosztowna, rzecz to nie warta zachodu, rzecz to do wykonania bardzo trudna. Roztrząśnijmy trzy te argumenty: kosztowności, bezpożyteczności i trudności.

Co do pierwszego, jest on po części słusznym. Utrzymywanie obszernych ogrodów w stanie kwitnącym i zakładanie nowych, pociąga za sobą pewne koszta. Jest to już przecież zwykłe prawo rządzące nie tylko tem, ale wszelkiem innem przedsiębierstwem produkcyę na celu mającem, że dla zdobycia od zasobów naturalnych nowych sił i zysków, trzeba niezbędnie posiadać odpowiednią celowi summę, sił i zysków wprzódy już zdobytych i zaoszczędzonych, czyli — kapitał. Przeciw prawu temu poradzić nic niepodobna; głogi tylko i pokrzywy rodzą bujnie bez współudziału pracy ludzkiej przeszłej lub teraźniejszej, i wytworzonego przez nią kapitału. Należy tylko przekonać się, jak wielki kapitał w obecnym wypadku musi być w ruch wprawianym i czy posiadacze wiejscy są w stanie rozrządzać nim bez ukrzywdzenia innych produkcyjnych gałęzi swego gospodarstwa, bez wtrącenia codziennego bytu swego w kłopoty i niedostatki? Widzimy tu przedewszystkiem potrzebowanie gruntu branego pod uprawę ogrodu, i pracy ludzkiej nabywanej w zamian pieniędzy. Ale grunt wtedy tylko uważanym być może za kapitał gdy jest już uprawionym, do rodzenia plonów pracą ludzką przysposobionym. Inaczej, przedstawia on tylko jeden z zasobów naturalnych, które same w sobie wzięte bogactwem a więc kapitałem nie są, które pozostając w pierwiastkowym stanie swym, stanowią materyę nieruchomą, w nauce gospodarstwa społecznego noszącą nazwę nieużytku. W kraju naszym mało zaludnionym, w niektórych mianowicie okolicach w których obok bardzo dobrych istnieją wielkie posiadłości zawierające w sobie obszary gruntu w części tylko uprawionego, nieużytków podobnych znajduje się wiele — a do nich zaliczyć należy owe przestrzenie okalające dwory wiejskie w postaci dziedzińców i ogrodów; pozostawione całkowicie odłogiem albo uprawiane w sposób, o którym opowiadaliśmy powyżej, a który jednoznaczy prawie z zupełnem odłogowaniem. Zajęcie podobnie odłogującego gruntu pod uprawę ogrodu nie może być uważanem za wydatek dokonany z kapitału już posiadanego, ale za zawładnięcie zasobem naturalnym, aby ze stanu nieużytku przeprowadzić go w stan produkcyjności, a więc dopiero i właśnie przeistoczyć go w kapitał. Tym sposobem rzecz cała sprowadza się, jak widzimy, do pracy ludzkiej, którą nabyć trzeba, czyli do kosztów, jakie pociągną za sobą musi posiadanie ogrodnika kierującego robotami i najemników dokonywujących tych robót. Jeżeli idzie o proste utrzymanie w stanie pożądanym ogrodu już istniejącego, koszta te wyniosą tyle tylko prawie, ile potrzeba dla opłacenia i utrzymania pierwszego, to jest summy mniej więcej od czterech set do ośmiuset złotych rocznie, odpowiednio naturalnie mniejszemu lub większemu ukształceniu fachowemu ogrodnika i mniejszej lub większej przestrzeni gruntu zajmowanego pod ogród, a więc i ilości żądanej pracy. Mała w takim razie ilość potrzebnego robotnika summę tę podniesie o kilkadziesiąt, a najwięcej sto złotych, co znaczy, że wydatek kilkuset do tysiąca złotych rocznie pokryje w zupełności potrzeby starannego utrzymania kilku morgowego chociażby ogrodu. Jeżeli ogród nie ma być utrzymywanym tylko, ale i odnawianym, powiększonym, co zresztą koniecznem jest wszędzie gdzie gospodarstwo ogrodowe dążyć ma do postępu nie zaś do upadku, powyższemu rachunkowi przybędzie cyfra wynikająca z zakupna szczepów i zwiększonej ilości potrzebnej pracy. Tu zwrócić należy uwagę, na to, że ogród nie może szybko jak grzyb wyrastać z ziemi. Prace około założenia ogrodu ciągną się latami, na lata też rozkładają się koszta wynikające z nabywania szczepów i najmu robotnika. Jeżeli ogród założony jest na przestrzeni mogącej pomieścić np. trzysta drzew owocowych, których stopniowe zasadzenie i szczepienie trwać będzie przez lat trzy, wydatek na zakupienie stu szczepów rocznie w wielkich zakładach ogrodniczych wyniesie złotych sto, półtarasta, najwięcej dwieście. Prace około zasadzenia, szczepienia, okopywania i nawożenia ziemi na powyższą skalę prowadzone, wymagają, według zdania ludzi fachowych, nie więcej jak stu robotników których najem, biorąc średnią cenę dni roboczych pieszych i fornalskich od 40 gr: do 2-ch złotych, wyniesie w przybliżeniu dwieście złotych. Obie cyfry te w przyłączeniu z tą, którą powoduje opłata i utrzymanie ogrodnika, utworzą summę nie przenoszącą półtora tysiąca złotych. Jest to w prawdzie koszt niemały, ale utrzymywać, że właściciel średniej choćby posiadłości ziemskiej nie jest w stanie ponieść go, byłoby zupełnym nonsensem. Pomijamy już wzgląd czysto moralnej natury, że wymieniona cyfra nie dosięga tej której wymaga kupienie dwóch strojnych sukien lub wydanie jednego świetnego wieczorku, od jakich to wydatków powstrzymuje się jeden chyba zaledwie na dwudziestu cokolwiek zamożniejszych właścicieli, znajdujemy tylko że utrzymywać, jakoby posiadacze wiejscy nie byli w stanie uprawiać swych ogrodów, dla tego że uprawa ta jest kosztowną, znaczyłoby to samo, co twierdzić, że mogą oni ze spokojnem sumieniem nie obsiewać swych gruntów żytem i pszenicą, ponieważ przysposabianie ziemi pod siew pociąga za sobą znaczne wydatki. Pytanie całe zawiera się w tem, czy dana gałęź gospodarstwa może z natury swojej i warunkujących ją okoliczności być dość produkcyjną, aby zwrócić włożony w uprawienie ją kapitał wraz z odpowiednim procentem?

d. c. n.

KRÓTKIE WIADOMOŚCI
Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH
POSTĘPU ICH I ZASTOSOWANIA.

I.

Ważniejsze zastosowania Elektryczności prądującéj.

(Dalszy ciąg.)

Urządzenie drutów telegraficznych podmorskich, przez czas długi znaczne trudności przedstawiało, z powodu niedostateczności i wysokiej ceny materyałów mogących być użytemi do dokładnego odosobnienia drutów wsród massy wód morskich, będących wybornym przewodnikiem elektryczności. Dopiero bliższe zbadanie gutta-perchi, substancyi roslinnej początkowo z Chin dostawionej w roku 1849, a będącej ciałem wybornie odosobniającem, dozwoliło rozwiązać zwycięzko zadanie telegrafów podmorskich.

W Listopadzie 1851 roku pierwsza lina podmorska rzuconą została pomiędzy Douvres i Calais. Konduktorem była lina metaliczna, giętka i mocna zarazem. Cztery druty miedziane w powłoce z gutta-perchi zostały skręcone z czterma konopianemi sznurami, a wszystko powleczone mięszaniną smoły i łoju, obmotane konopnem przędziwem i po wierzchu raz koło razu okręcone drutem żelaznym.

Zanurzenie liny telegrafu podmorskiego przedstawia w praktyce bardzo wiele trudności. Należy położyć na dnie morza, bez uszkodzenia podczas tej roboty, konduktor elektryczny znacznej bardzo długości a więc i ciężaru. W tym celu lina złożona na spodzie okrętu, wyciąga się z tamtąd i nawija na ogromny kołowrot, zajmujący całą prawie szerokość statku pomiędzy kołami machiny parowej. Z kołowrota majtkowie ją rozkręcają i pogrążają w morze, gdzie ona własnym już ciężarem opada aż póki dna nie dosięgnie. Jest to czynność bardzo trudna i wprawnych a zręcznych robotników wymagająca. Zbyt często się zdarza że gwałtowne wstrzęśnienie statku w skutek uderzenia fali, zerwie linę w chwili gdy ta w morze opada. Innym razem, ogromna głębokość morza bywa powodem zerwania liny, której ciężar stając się zbyt wielkim a przez dno morza nie podtrzymywanym, własnym ciężarem ją przerywa.

System komunikacyi podmorskich w ostatnich czasach szybkie uczynił postępy. Dziś podwodne telegrafy łączą już Anglię z Francyą, Irlandią, Hollandią i Belgią, o Ameryce zaś później mówić będziemy. Lądy Europy i Afryki połączone są telegrafem elektrycznym od brzegów Francyi wychodzącym, dotykającym Korsyki, przebywającym ciaśninę Bonifacio Sardynię od Korsyki oddzielającą, a pogrążając się w głębie Sródziemnego morza, dochodzącym już bez zatrzymania do brzegów Afryki, w okolicy Bone. W 1856 roku, podczas wojny krymskiej urządzono telegraf elektryczny przez Morze czarne od Warny do Bałakławy. Za pomocą tej podmorskiej komunikacyi, rządy Angielski i Francuzki, odbierali natychmiast i jednoczesnie, tak w Paryżu jak i w Londynie, wiadomości o wszystkich wypad-

kach i ruchach wojsk swoich; wiadomo bowiem że elektryczność przebiega przestrzeń z szybkością obliczyć się nie dającą.

Są to cudowne zdobycze nauki zdające się urzeczywistniać marzenie najbardziej rozbujałej wyobraźni.

Długość liny podmorskiej pomiędzy Douvres i Calais wynosi 30 kilometrów, srednica jej trzyma około 3 centymetrów, a waga ogólna jest 180,000 kilogramów (około 430,000 funtów). Skład jej wewnętrzny już opisaliśmy wyżej, dodać tylko musimy że drut zewnątrz ją okrywający powleczony jest cynkiem dla zabezpieczenia żelaza od rdzy, ta zaś powłoka metaliczna nie służy bynajmniej jako konduktor lecz tylko dla lepszego ochronienia konduktorów wewnętrznych, któremi są tylko owe cztery miedziane druty.

Lina podmorska łącząca Anglię z Irlandią, wychodząca z Holy-Head a sięgająca Dublinu, składa się tylko z jednego miedzianego drutu służącego za przewodnik, a zwierzchnie jej okrycie złożone jest z dwunastu cienkich żelaznych drutów; ztąd ciężar jej o wiele jest mniejszy gdyż mając długości 130 kilometrów, ogólna jej waga nie przenosi 80,000 kilogrammów. W ciągu jednego tylko dnia zdołano ją rozwinąć i w morzu pogrążyć.

Telegraf transatlantycki. W roku 1858 uczyniono próbę olbrzymią: postanowiono połączyć ląd Europejski z Nowym Światem za pomocą liny telegraficznej podmorskiej, zanurzając ją w niezmierzone głębiny Atlantyku. Lina ta miała 880 mil długości i składała się z siedmiu drutów miedzianych razem skręconych w sposób już opisany i zabezpieczonych okryciem z gutta-perchi i drutów żelaznych.

Zanurzenie liny tej od brzegu Irlandji aż do wyspy Neufundland w Ameryce, powiodło się wybornie, lecz ta komunikacya telegraficzna tylko przez dni kilka służyć mogła i ujrzano się w konieczności do późniejszych czasów odłożyć doprowadzenie do skutku tego nowego a tak wielkiego przedsięwzięcia. Ponowione usiłowania w roku 1865, nie udały się znowu z powodu zerwania się liny w czasie jej zanurzania.

Dopiero w roku następnym 1866 wytrwałość i praca uczonych i marynarzy angielskich zupełny otrzymała skutek. Nie tylko, że w miesiącu Lipcu tegoż roku zdołano szczęśliwie pogrążyć w bezdnach Oceanu 800 mil liny tworzącej telegraf transatlantycki, lecz jeszcze wynaleźć i wyciągnąć linę w roku przeszłym zerwaną, a spoiwszy ją, uczynić z niej drugi transatlantycki telegraf.

Zanurzenie liny podmorskiej tak olbrzymiej długości i na głębokościach tak ogromnych jak są przepaście Antlantyckiego Oceanu, jest czynnością bardzo trudną i wymagającą prac przygotowawczych a mianowicie zbadania tych głębokości i rodzaju dna na którym ona ma spoczywać. Jest to rzecz nie małej wagi, albowiem skały zbyt ostre lub strome prędko linę ową przetrzećby mogły. Wszakże nauka przy usilnej a wytrwałej pracy zdołała pokonać wszelkie trudności, i obecnie dwie linje telegraficzne są czynne pomiędzy starym a nowym lądem z szybkością myśli przesyłając wiadomości wszelkie. Szczegóły o sposobach badania dna morskiego, jakoteż i zanurzania oraz pomieszczenia na statku liny na 800 mil długiej, jakolwiek ciekawe, zbyt wiele jednak miejscaby nam zajęły, wspomnimy więc tylko o ciekawym fakcie objawiającym się przy przesyłaniu depesz z jednego do drugiego świata: faktem tym jest różnica czasu okazująca się na dwóch przeciwnych końcach liny telegrafu transatlantyckiego, to jest w Europie i Ameryce. Depesze wysłane z Europy dochodzą do Ameryki Północnej w sześć godzin przed ich wysłaniem z Londynu lub Paryża. Negociant Paryzki posyła naprzykład telelegram do korespondenta swego w stanach Zjednoczonych o samem południu, a ten odbiera go o szóstej z rana tegoż samego dnia, czyli wstecz o godzin sześć. Fakt ten pochodzi z różnicy czasów słonecznych, w stosunku różnicy długości geograficznej miejsc różnych, która między Paryżem a Nowym Orleanem około sześciu godzin wynosi. Na każde 15° długości ku zachodowi, słońce opóźnia się o całą godzinę; ztąd wynika że w Nowym Orleanie który oddalony jest o 90° od południka Paryzkiego, słońce wschodzi o sześć godzin później aniżeli w Paryżu.

Możnaby więc powiedzić niejako, że za pośrednictwem telegrafu transatlantyckiego depesze dochodzą do Ameryki przedtem nim z Europy wysłane zostały.

Jakże dziwne są rezultaty nauki, jak wielkie i godne najgłębszego rozmyślania skutki przedstawia ona ciągle badawczym umysłom naszym!

d. c. n.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ.
(Ustęp z dzieła Konstantego Petrowa p. t. Obraz literatury rossyjskiej).

III.

WIEK XVII.

Literatura tegoczesna,

panowanie Elzbiety Piotrównej.

(Ciąg dalszy).

Trediakowski dowodzi słowiańskiego pochodzenia Rossyi, uciekając się do tem osobliwszych argumentów, że je wywodzi z filologii, która wtedy prawie zupełnie jeszcze była nieznaną. Nowy ten pomysł przynosi zaszczyt patryotycznym uczuciom owczesnych historyków, ale nie dowodzi wielkiej erudycyi i z resztą wyszedł on od pisarzy cudzoziemskich, którzy zostali zawezwani i osiedlili się w Rossyi, ale nie znali dobrze jej historyi. Ten sposób zapatrywania się przeważał w sposobie pisania historyi aż do czasów Karamzina.

Do czasu Sumarokowa, twórcy sztuki teatralnej w Rossyi, nie znano innej krytyki jak pisanie satyr na obyczaje społeczne, prawdziwie literacka krytyka wtedy dopiero pojawiać się zaczęła i to jeszcze w nader szczupłym ograniczając się zakresie. Zazwyczaj odnosiła się tylko do stylu autora, sądząc go najczęściej według widzimisię krytyka. I nie można się dziwić, że sama tylko forma była przedmiotem krytyki, gdyż po większej części wszystkie ówczesne utwory były tylko kompilacyami, mniej więcej zręcznie dokonanemi; pisarze okradali się nawzajem niemiłosiernie, bez ogródki i skrupułów; krytyczne artykuły Sumarokowa odznaczały się drażliwością, szyderstwem i grubiaństwem, szczególniej jeśli upatrywał w jakimś autorze niebezpiecznego współzawodnika, sam uniesiony pychą, uważał się za rossyjskiego Voltaire'a

Erudycyi i niezmordowanej pracy Miller'a, zawdzięcza Rossya pierwsze dzienniki i pisma peryodyczne. Najwpierw zaczął wydawać rodzaj przeglądu miesięcznego p. n. *Pisma przyjemne i pożyteczne*, który dość usprawiedliwiał swój tytuł. Dziennik ten mieścił w sobie trzy działy: pierwszy zawierał artykuły z dziedziny historyi, geografji i statystyki, pisane po większej części przez samego wydawcę; drugi obejmował poezye Łomonosowa, Sumarokowa i Trediakowskiego, a trzeci, najwięcej zajmujący ówczesną publiczność, mieścił w sobie opowiadania moralne w formie powieści, bajki i dyalogi. Allegorye te nie zalecały się bynajmniej, tak wytworną formą artystyczną, jak dzisiejsze romanse i powieści, jednak z wielkiem zajęciem czytane były tem więcej, że łatwo można było odgadnąć sens moralny.

Pierwszy dziennik satyryczny wydawany był przez Sumarokowa: zaczął on wydawać w roku 1759 *Skrzętną pszczołę* w której zamieszczał przeważnie swoje satyry, i artykuły tłomaczone z *Spektatora* Addisson'a.

Panowanie Katarzyny II-ej.

Główną cechą charakterystyczną drugiej połowy XVIII-go wieku, pod względem dziejów nauki w Rossyi, jest napływ pojęć europejskich, które szerokim popłynęły strumieniem, zbawienne nader krajowi temu zapewniając następstwa. Zasady tegoczesne przyjęte w całej ucywilizowanej Europie, znalazły zwolenniczkę w Katarzynie II-giej, i one to stanowią podstawę *Instrukcyi*, jakie wydała Komissyi wyznaczonej w celu opracowania nowego kodeksu. Monarchini pragnęła zaprowadzić nowe prawa oparte na poczuciu sprawiedliwości; lecz chąc aby mogły się przyjąć, trzeba było pierwej stworzyć „jakichś nowych ludzi" za pośrednictwem innego sposobu nauczania. Plan taki został ułożony i zaprowadzony przez Beckiego, który założył kilka zakładów naukowych, jak Dom wychowania, i Szkołę handlową w Moskwie, oraz Smolny Instytut w Petersburgu.

Nowe idee humanitarne służące za podstawę *Instrukcyom* wydanym przez Katarzynę II-gą, jakoteż zakładom edukacyjnym Beckiego, zostały zaszczepione w umysłach ludzi ukształconych, których zdolności, urodzenie lub majątek stawiały na czele ówczesnego społeczeństwa. Ten nowy kierunek umysłów dał pochop do wydawania wielu pism peryodycznych wychodzących między 1769 a 1774r; zamieszczały one w swych szpaltach szczegółową krytykę ówczesnego społeczeństwa, i z tego tytułu są ważnym zabytkiem do historyi cywilizacyi i literatury rossyjskiej. Wszystkie niemal były to dzienniki humorystyczne; jedne opisywały życie magnatów w stolicy lub w ich majątkach, wychowanie ich dzieci i. t. p. inne wprost odnosiły się do osobistości. Publiczność z wielkiem zajęciem czytywała te dzienniki, a pod wielu artykułami dopisywano, rzeczywiste nazwiska opisywanych osób. Najlepszem z tych wydawnictw był *Malarz.*

Autorowie obdarzeni poczuciem sztuki, wytworzyli typy, które wprowadzili do utworów swoich. Do najlepszych w tym rodzaju należą pisma: Katarzyny II-ej i znakomitego Von-Wizina. Katarzyna napisała zbiór opowiadań satyrycznych, p. t. *Powieści rzeczywiste i zmyślone.* Sam tytuł maluje treść książki, wytykającej tylko słabości a nie występki, bez żadnych przytyków do kogobądź; taż dostojna autorka napisała jeszcze kilka komedyi grywanych w teatrze dworskim, wyszydzających obłudę i skąpstwo, przesądy i niechęć przeciw nauce, niezadowolenie z postanowień rządu, wprowadzanie w użycie wyrazów francuzkich, płoche intrygi magnatów, marnotrawstwo Rossyan za granicą, i. t. p.

Najlepszymi utworami Von-Wizina z czasu od 1724—1792 są dwie komedye: *Brygadier* i *Maloletni.* W pierwszej autor wyszydza fałszywy, antynarodowy kierunek edukacyi, i nadużycia w zastosowaniu obowiązujących przepisów. Głównymi osobami są Iwanuszka, syn brygadyera, który pobierał edukację w Paryżu i jest zaciętym wrogiem wszystkiego, co tylko jest rossyjskiem, i niejaki radca, śmieszny typ urzędnika. Komedya ta maluje wiernie zboczenia pewnej klasy społeczeństwa, ale pod względem sztuki wiele jej zarzucić można, a najpierw: miłość Dobrolubowa i Zofji nie wchodzą do planu sztuki, zupełnie brak akcyi; całość składa

się z samych tylko poszczepianych z sobą dialogów a osoby są istne karykatury. Za to w dialogach jest wiele trafnych i dowcipnych zwrotów.

Też same wady zarzucić można Komedyi *Małoletni*, której celem wytknąć ciemnotę i nadużycia praw swoich przez ojców rodzin i właścieli. Głównemi osobami są sam Małoletni i matka jego.

Postać Małoletniego przypomina pisma Bolotowa i artykuły *Malarza* opisujące wychowanie młodych paniczów, którym prawo kazało się uczyć, pod karą utraty przywilejów szlacheckich. Intryga dobrze prowadzona, nie brak werwy i dowcipnych docinków.

Von-Wizin pisał wiele i w rozmaitych przedmiotach; prace jego cechuje liberalny duch i głęboka znajomość polityki i społeczeństwa. Oburza się na przedajność i zdzierstwo, i żąda, aby ogłoszono drukiem protokuły śledztw; w korespondencyi swojej z Katarzyną II-gą dotyka często najdrażliwszych stron mechanizmu państwowego.

Utwory dramatyczne Katarzyny II-ej i Von-Wizina, tak wiernie malujące ówczesne społeczeństwo, nie mogą przecież wytrzymać poważnej krytyki pod względem sztuki. Później dopiero utwory literackie rossyjskie zaczęły zwolna w lepszej pojawiać się formie.

Już za życia Sumarokowa, pojawiły się tragedye mieszczańskie i komedye płaczliwe, niby przeciwstawienie tragedyom pseudo-klasycznym. Nowy ten rodzaj utworów dramatycznych powstał najpierwej w Anglii, a ztamtąd rozpowszechnił się we Francyi i w Niemczech, gdzie mieszczańskie dramaty Lessing'a, uchodziły za wzór tego rodzaju. Właśnie wtedy gdy pisma satyryczne największej w Rossyi używały wziętości, zaczęły się pojawiać tłomaczenia owych dramatów mieszczańskich: próby oryginalne ukazały się znacznie później.

Znacznie także przyczyniły się do rozwoju rossyjskiej poezyi dramatycznej, przekłady dzieł Schillera i Szekspira. Najsłynniejszym był przekład tragedyi *Juliusz Cezar* dokonany przez Karamzina, poprzedzony przedmową, w której tłomacz dowodzi wyższości poety angielskiego nad Racine'm i Corneille'm. Wodpowiedzi swojej na te zarzuty, Sumarokow, zgodnie z Voltaire'm, staje po stronie poetów francuzkich. Smutniejsze są dzieje poezyi epicznej. Jeszcze za panowania Katarzyny II-ej pisano poemata nadęte, biorąc niby za wzór Homera i Tassa lub *Henryadę* Voltaire'a. Do najwięcej cenionych wówczas w tym rodzaju utworów, należą; *Russiada czyli wzięcie Kazania* i *Włodzimierz czyli nawrócenie Rossyi* Cheraskowa i to nie dla wartości, bo nią bynajmniej się nie zalecają, ale ze względu na autora, kuratora uniwersytetu w Moskwie który był człowiekiem dowcipnym i ukształconym i bardzo protegującym nauki i oświatę.

Ale poemata takie, nazbyt wysokiego ustroju, nie podobały się nie tylko publiczności, ale nawet wielu literatom, którzy ogłaszali wyśmiewające je artykuły i wiersze; ztąd powstała parodia *Eneidy*, Komiczne poezye Majkowa, oraz długi wiersz Bogdanowicza p. t. *Duszeńka*, w którym starał się naśladować La Fontaine'a. Jest-to pierwsza próba lekkiej poezyi rossyjskiej.

Teorya Francuzów o poezyi, według której moralność powinna być wykładana w sposób lekki, dostępny i przyjemny, nie tylko wywarła wielki wpływ na utwory literackie owej epoki, ale nadto powołała do życia długie i nudne poezye dydaktyczne, z których najlepszą jest *List na szkle* napisany do Szuwałowa przez Łomonosowa.

Bajka jest najwięcej artystyczną formą poezyi dydaktycznej; za panowania Katarzyny, najwięcej zdolności wtym rodzaju posiadał Kemnicer (1744—1784). Tłomaczył dobrze bajki Gellerta i pisał oryginalne, odznaczające się prostotą i wdzięcznem opowiadaniem. Uważał, że moralność stanowić powinna główną zasadę bajek; nadto w utworach jego odbijają się wiernie jego myśli i obyczaje. Był-to człowiek cichy, skromny, poczciwy a całem jego utrzymaniem był nader mierny dochód z prac jego.

W poezyi lirycznej, której pierwszym twórcą był w Rossyi Łomonosow, nie ukazało się nic godnego choćby wzmianki, aż do czasów Dzierżawina (†1816).

W ogóle dawała się czuć potrzeba reformy, gdyż napuszone ody naśladowców Łomonosowa, śmiech tylko budziły. Dzierżawin sam nader trafnie określa czem odznaczył się od innych, mówiąc, że pierwszy zaczął *lekkim stylem* głosić zalety Katarzyny II-ej z prostotą mówił o Bogu i z uśmiechem na ustach wypowiadał prawdę cesarzom.

d. c. n.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Paryż 30 Lipca.

(Ciąg dalszy).

Piękny jest bardzo utwór p. Hislle, *Pomnik grobowy*. I tu widzimy anioła z roztwartemi skrzydłami, czyli raczej typ kobiety energicznej i dumnej. Anioł kobieta nie wznosi się ku niebu, ale zstępuje z niego jakkolwiek zaledwie dotyka ziemi i widać, że rozwinięte skrzydła mogłyby ją lada chwila unieść w powietrze, w nieco pochylonej postaci przebija żal męzki, boleść prawie ziemska. Pochylona naprzód, pół klęcząc, pół siedząc, upada że tak powiem na trofea połamanej broni, na wierzchu którego leży przewrócona armata; w obu rękach trzyma wieńce aby je złożyć na grobie żołnierzy poległych za ojczyznę. Poważna twarz wyraża męzki smutek. Gęste włosy, nieco rozrzucone, ocieniając pochylone czoło, uwydatniają jeszcze jej smutek. Zapewnie w szczegółach można dopatrzéć usterki, ale całość pociąga wzniosłością, i co rzadko dziś spotkać u rzeźbiarzy, jednoczy piękną pozę z akacyą dramatyczną.

Ścieśnione ramy korespondencyi nie dozwalają nam opisywać lub choćby tylko wymieniać wszystkich godnych wzmianki utworów celniejszych artystów, tak malarzy jak rzeźbiarzy i snycerzy, poprzestajemy więc na tej krótkiej wzmiance. Już z tego pobieżnego przeglądu możemy postrzedz, że najniżej stoi malarstwo tak zwane *grand-style*, rodzajowe znajduje nader licznych przedstawicieli, ale tu jakość nie koniecznie odpowiada ilości; najlepiej stosunkowo przedstawiają się malarze krajobrazów, ale zbyt troszcząc się o szczegóły, nie dość zważają na harmonię całości. Pod tym względem snycerstwo i rzeźbiarstwo stoi daleko wyżej, widać w nich ciągły postęp i że tak powiem, odradzanie się. W obu gałęziach szkoły francuzkiej objawia się zbawienna reakcya przeciw mieszczańskiemu *manieryzmowi* i przesadzenie wymuszonej wykwintności modnych malarzy. Jednakowoż reakcya ta, od której zależy przyszłość tejże szkoły, nie wydała jeszcze dotąd oczekiwanych rezultatów, i jak dotąd, doprowadziła tylko do dość trywialnego realizmu. Powodem tego jest, że tak w sztuce jak literaturze odbija się stan społeczeństwa wahającego się w wyborze kierunku, zniechęconego i zdemoralizowanego. Nie talentu i pomysłów brak artystom, ale brak pojęć i myśli, niekoniecznie nowych, ale prawdziwych, poważnych, a tem samem oryginalnych, pojęć i myśli ogrzanych prawdziwym zapałem, przemyślanych i odczutych przez tego, co je wyrazić pragnie; brak wzniosłości ducha, brak ciepła wyradzającego się z prawdziwego zapału, który tak łatwo udziela się widzom, brak serdecznego umiłowania sztuki i zupełnego zapomnienia o sobie. Zostaje się artystą, jak zostaje się dziennikarzem lub politykiem, bez stałych przekonań, bez stałego kierunku, bez silnej wiary, to z interesu, to dla zabawki, dla chleba lub jeszcze przez próżność. Taki artysta nie troszczy się o sztukę, ale o rozgłos, zysk lub poklask tłumów—i dla tego tak dziś trudno o prawdziwe dzieła sztuki. Jakaż na to rada?

Różne podawano środki; jeden z prawodawców francuzkich wystąpił z projektem, aby wyznaczyć komisyę złożoną z urzędników i biskupów, zobowiązanych utrzymywać w karności i czuwać nad moralnością szkoły francuzkiej; inni wskazywali rządowi jego na tej drodze obowiązki. Wszystko to stałoby się lekarstwem uśmierzającem, ale nigdy radykalnem. Chcąc odrodzić sztukę, nie tylko francuzką, ale w ogóle tegoczesną, trzeba przedewszystkiem zmienić ducha naszej epoki. Sztuka modeluje się zawsze według społeczeństwa, w jakiem się rozwija, niech ono nie będzie tak płochem, lekkomyślnem, sceptycznem i powierzchownąm tylko błyszczącem ogładą, a i sztuka wzniesie się wtedy do świetlanych wyżyn ideału.

O teatrach paryzkich nie ma teraz co mówić; wielki świat schronił się do swoich wiejskich pałacy, lub willi, to też wtym czasie przedstawiają po większéj części same farsy i wodewile, lub co najwięcej wznawiają stare sztuki. W komedji francuzkiej, z powodu rocznicy urodzin Corneille'a, przedstawiono *Cyda*. Główne role oddano pannie Fovart i p. Mounet-Sully mimo to przedstawienie nie bardzo zadowolniło widzów. Już to w ogóle *w Komedyi francuzkiej* daleko lepiej udają się komedye niż tragedye.

W teatrze *Palais-Royal* zapowiedziano trzy sztuki tak zwane *grotesques*; najpierw przedstawiono parodię *Sfinx'a*. Osoby chcące się uśmiać za swoje pieniądze, mogą być w zupełności zadowolnione. Panny Croisette i Sara Bernhard oraz p. Delannay występujący w tej sztuce w *Komedyi francuzkiej* nie mogą nie poznać się od pierwszego rzutu oka, dziwiąc się zarazem niepomału dlaczego zamiast płakać, tym razem widzowie śmieją się z nich do rozpuku. Rzeczywiście parodya dowcipna a gra wyborna. Pełna werwy jest *bluetka* p. n. *Dama z wytrychem*, jest tu wiele *humoru* i werwy i pewnie długo utrzyma się w repertuarze.

(d. n.)

Zawiadomienie.

Z przyczyny niezależnej od Redakcyi, dodatek zwykły z powieścią do numeru dzisiejszego nie zostaje dołączony, w przyszłym zatem numerze dodatek ten damy podwójny obejmujący cały arkusz druku.

Redakcya.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Opis do N. 40.

N. 1—2 i 17—18. Dwa fartuszki dla dzieci.



N. 1. Fartuszek z naszyciem kaftaniczka i długiemi rękawkami. Patrz plecy ryc. 17.

Jak dla osób starszych vêtement stanowią dopelnienie toalety i odświeżają nieraz już znoszone ubranie, tak dla dzieci fartuszki stanowią konieczny szczegół ubrania; a zasłaniając staniczki i przód sukienki, dłużej zatrzymują jej czystość. Są one odpowiednie zarówno dla noszonych na ręku dzieci jak i dla starszych.

N. 1—17. Fartuszek w kształcie kaftaniczka z rękawami.

Fartuszek ten oryginalną lecz praktyczną formą odrobiony, ma dodaną pomiędzy przodami kaftanikowemi część dłuższą. spadającą po za pasek, ozdobioną guziczkami, wstawką i falbaneczką. Plecy fartuszka, które wskazuje ryc. 17, marszczą się w drobne fałdki i wszywają do 21 cent. szerokiego karczka, zapiętego na dwa guziczki, karczek na ramionach zszywa się z przodami, pod pachą części fartuszka także łączą się krótkim szwem z sobą. Nakoniec podciąwszy trochę pachy, wszywa się rękawki, ozdobione wstawką i falbaneczką. Przy szwach bocznych dodane są szarfki, które wiążą się w kokardę zwierzchu pleców.



N. 3. Domowe ubranie z tiuniką na przodzie.



N. 4. Ubranie na głowę z aksamitki naszytej perełkami.

N. 2—18. Fartuszek z kwadratowym wykrojem.

Strojny ten fartuszek odszyty jest z batystu i ozdobiony falbaneczką koronką i haftowanemi wstawkami. Przybranie fartuszka z przodu ma 42 cent. u dołu, u góry zwęża się do 16 cent. z boków zakończone jest wstawkę i falbanką naszytą wzdłuż. Na gładkiej środkowej zakładzie dane są małe białe guziczki. Plecy i boki fartuszka są z kawałka batystu 50 cent. długiego a 1 metr szerokiego, zaobrąbionego u dołu i wszytego u góry po zmarszczeniu w haftowaną wstawkę 20 cent. długą. Kawałek wstawki 42 cent. długi, stanowi pasek przedni i ramiączka zaszyte prosto, co tworzy



N. 2. Fartuszek z kwadratowym wykrojem Patrz plecy ryc. 8.

wykrój kwadratowy. Falbanki 6 $^1/_2$ cent. szerokie, przyszyte do ramiączek, tworzą epoletki po nad maleńkiemi rękawkami z krótkich bufek. Pod garnirunkiem bocznym przyszyte są niezbyt szerokie końce wiążące się z tyłu w kokardę.

N. 3. Domowe ubranie z tiuniką z przodu.

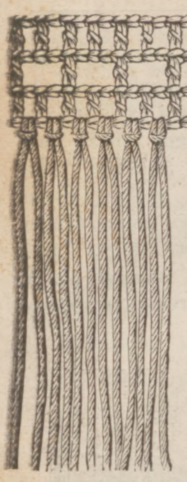
Suknia z trójkątną tiuniką z przodu, podana na ryc. 3, odszyta jest z piaskowego płótna. Plisy na sukni, przy tiunice i karoczku tudzież wykłady na rękawach są z szafirowego perkalu, z dodaniem białych wypustek. Spódnica zakończona jest szerokim, marszczonym wolantem, po nad którym z przodu dana jest suta bufa, otoczona plisowa-



N. 5. Spacerowy kaftanik z krótką pelerynką.



N. 6 Wcięty kaftanik zdobny piórami.

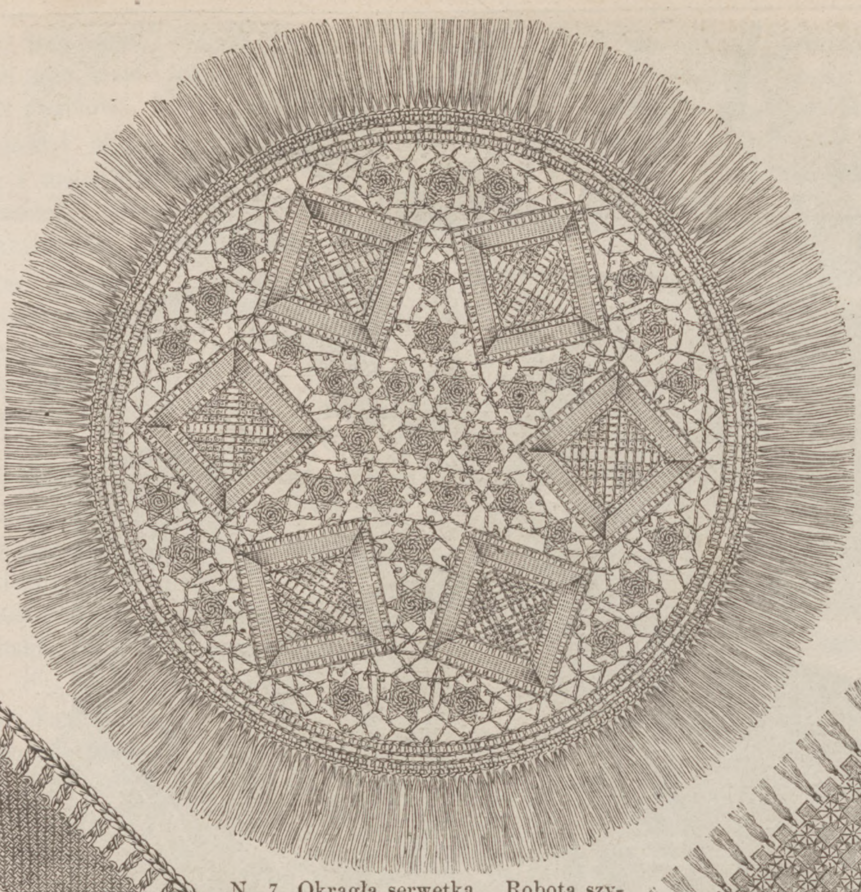


niem i druga plisa szafirowa z wypustkami. Suta szarfa złożona z pukli i długich końcy, jest z materyjału sukni a brzegiem objęta wązką pliską szafirową. Gładki stanik ma baskinę przeciętą na bokach, z tyłu spuszczoną w kształcie patek zakończonych plisowaniem.

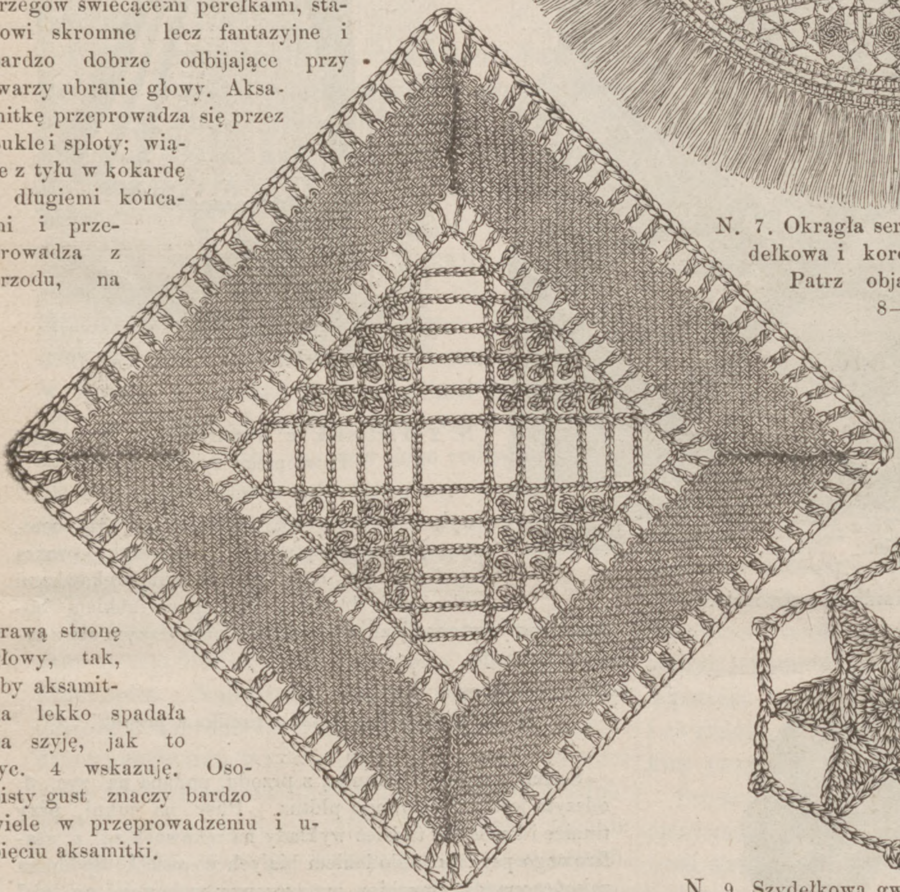
N. 10. Szydelkowa frendzla do ryc. 7.

N. 4. Ubranie na głowę z aksamitki oszytej perełkami.

Czarna aksamitka, 3 cent. szeroka, oszyta z brzegów świecącemi perełkami, stanowi skromne lecz fantazyjne i bardzo dobrze odbijające przy twarzy ubranie głowy. Aksamitkę przeprowadza się przez pukle i sploty; wiąże z tyłu w kokardę z długiemi końcami i przeprowadza z przodu, na prawą stronę głowy, tak, aby aksamitka lekko spadała na szyję, jak to ryc. 4 wskazuję. Osobisty gust znaczy bardzo wiele w przeprowadzeniu i upięciu aksamitki.



N. 7. Okrągła serwetka. Robota szydełkowa i koronkowa plecionka Patrz objaśnienie ryc. 8—11.



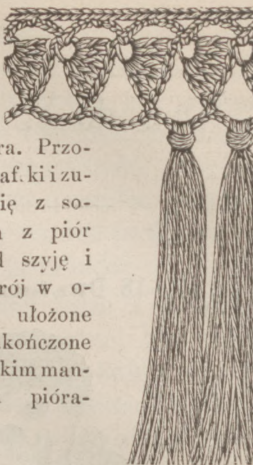
N. 8. Kwadrat szydełkowy z wrabianą koronkową plecionką do ryc. 7.

N. 5. Kaftanik spacerowy z krótką pelerynką.

Wcinany kaftanik z czarnego kaszmiru, przybrany jest na baskinie, pelerynce i rękawach, rulonami i oszyciem z jedwabnego repsu. Baskina spiczasta z tyłu, otwarta aż do paska, ma wzdłuż przecięcia naszyte ośm guzików szmuklerskich, zdobnych perełkami. Pasek zapięty z wierzchu kaftanika, może być według gustu kaszmirowy z repsową wypustką, repsowy lub skórzanny.

N. 6. Kaftanik wcinany, oszyty piórami.

Srebno-popielaty kaszmir stanowi materyjał na ten strojny i bogaty spacerowy kaftanik, przybrany piórami tegoż koloru agrafkami z grubego jedwabnego sznura. Przody spięte są na haf. ki i zupełnie zchodzą się z sobą, pod oszyciem z piór zachodzącym pod szyję i otaczającym wykrój w około. Rękawy ułożone w sute bufy, zakończone są przy ręku wązkim mankietem oszytym piórami.



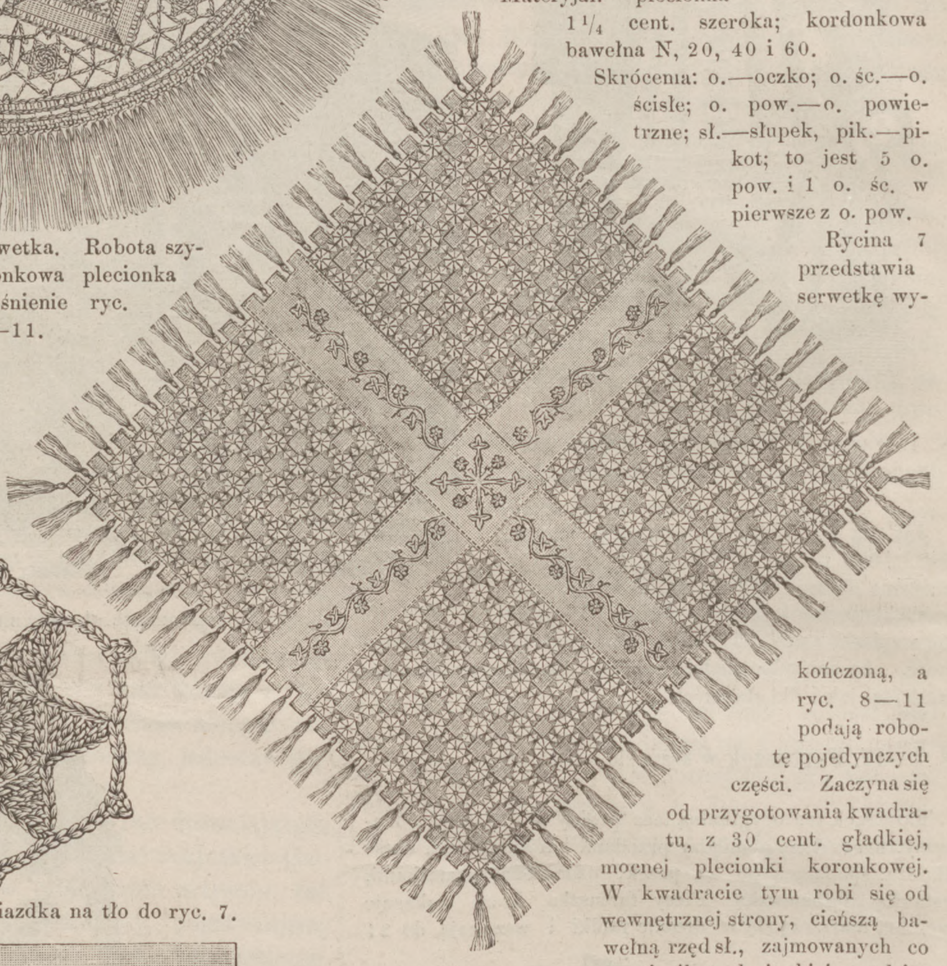
N. 11. Odmienna szydełkowa frendzla do r. 7.

N. 7—11. Okrągła serwetka. Robota szydełkowa z grubą plecionką koronkową.

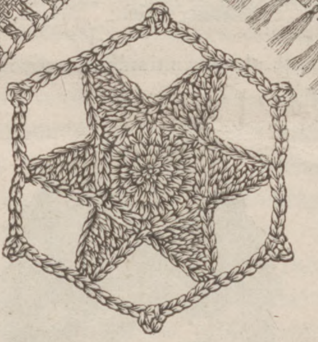
Materyjał: plecionka $1\frac{1}{4}$ cent. szeroka; kordonkowa bawełna N, 20, 40 i 60.

Skrócenia: o.—oczko; o. śc.—o. ścisłe; o. pow.—o. powietrzne; sł.—słupek, pik.—pikot; to jest 5 o. pow. i 1 o. śc. w pierwsze z o. pow.

Rycina 7 przedstawia serwetkę wykończoną, a ryc. 8—11 podają robotę pojedynczych części. Zaczyna się od przygotowania kwadratu, z 30 cent. gładkiej, mocnej plecionki koronkowej. W kwadracie tym robi się od wewnętrznej strony, cieńszą bawełną rząd sł., zajmowanych co drugi pikot plecionki i przedzielanych 2 o. pow, tak iż każda strona kwadratu liczy 14 sł., w rogach sł. nie przedzielają się o. pow. Na drugi rząd przyczepia się nitka w pierwsze o. pow. po trzecim sł. i robi 7 o. pow., zaczepionych za trzecim sł. w pzyległej stronie kwadratu, dalej * 5 o. pow. przyrobionych dwoma o. śc. w piąte o. poprzedniego rzędu; między o. śc. dany jest pikot. Powtórzyć trzy razy od *. Po czwartym pikocie następuje 5 o. pow. przyczepionych 1 o. śc. i 7 o. pow. na łańcuszek poprzecznie idący ku następnej stronie kwadratu. Takież pikoty i o. pow. robią się w 3, 4 i 5-tym rzędzie kwadratu tylko liczba pikotów zmniejsza się stopniowo jak to widać na ryc. 8. Szósty rząd



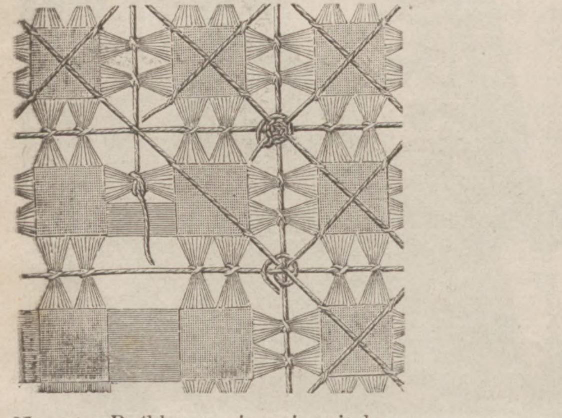
N. 12. Kwadratowa serwetka. Wyciągane nitki w płótnie i łatwy haft. Patrz objaśniające ryciny 13—14.



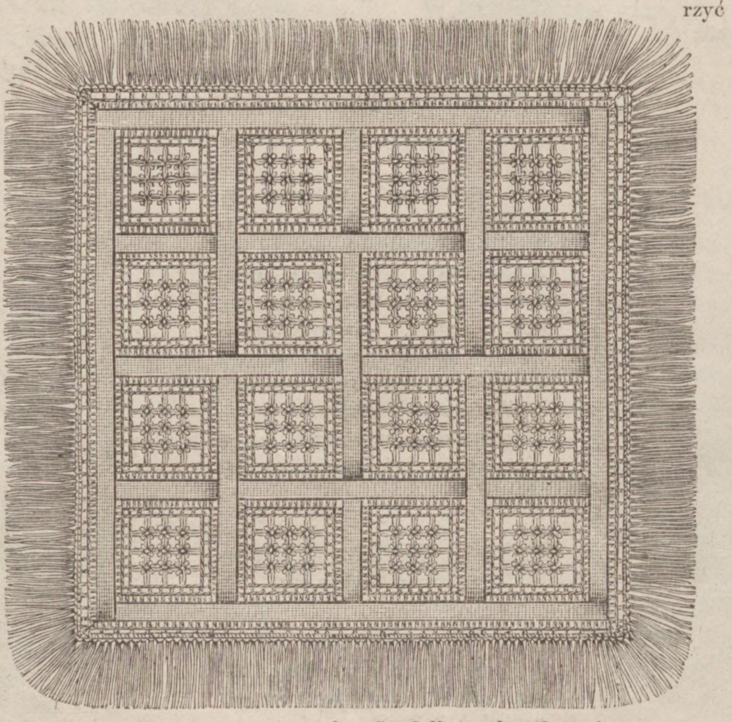
N. 9. Szydełkowa gwiazdka na tło do ryc. 7.



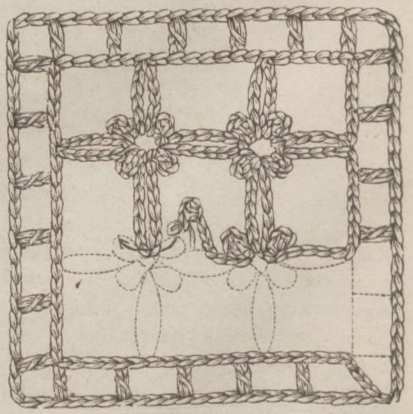
N. 13. Haftowany szlaczek do ryc. 12.



N. 14. Próbka wyciągania nitek w płótnie do ryc. 12.



N. 15. Kwadratowa serwetka. Szydełkowe kwadraty i mocna koronkowa plecionka. Patrz zaczęty kwadrat ryc. 16.



N. 16. Próbka kwadratu do ryc. 15.

liczy z każdej strony jeden ząbek z 5 o. pow. i łańcuszek z 8 o. pow. w ostatnim, siódmym rzędzie przerabia się 1 o. śc. w ząbek poprzedniego rzędu i 8 o. powietrznych, które tworzą kwadracik środkowy. Po skończeniu kwadratu dodaje się brzeżne obrobienie, grubszą bawełną, robiąc naprzemian 1 sł. i 1 o. pow. słupki zaczepiają się za pikoty plecionki.



N. 17. Fartuszek z naszyciem kaftaniczka i długiemi rękawkami. Patrz przód ryc. 1.

Gwiazdki łączące kwadraty i stanowiące tło serwetki, odrabia się podług ryc. 9, podającej gwiazdkę w naturalnej wielkości. Zaczyna się od środka 1 o. pow. w które przybiera się obrabiając w kółko trzy razy o. śc. tak iż zrobiony okrąg liczy 18 o. śc. Na każdy ząbek robić 6 o. pow. w które przerabia się (minąwszy pierwsze) 1 o. śc. 1 pół sł. 1 sł. 1 sł. dwa razy nawinięty i 1 sł. trzy razy nawinięty; ząbek taki przyczepia się 1 o. śc. co trzecie o. okręgu. Gwiazda liczy 6 ząbków; przy ostatnim potrzeba nitkę roboczą przeprowadzić do czubka ząbka. Po nad ząbkami odrabia się zęby z oczek pow. i p. z wykonaniem których łączy się jednocześnie spajanie gwiazdek i kwadratów. Łączenie gwiazd na tło i spajanie z kwadratami dopełnia się podług ryc. 7, wskazującej układ i liczbę gwiazdek. Niższa z dwóch gwiazdek wsuniętych między kwadraty jest mniejsza i nie obrabiana zębami brzeżnemi; liczy ona dwa rzędy o. śc. przybranych w koło jednego, środkowego oczka; 2 rzęd liczy 12 o. ząbki, odrabiane na 5 o. pow. obejmują 1 o. śc., 1 pół. sł, 1 sł. i 1 dwa razy nawinięty sł. Poniżej tej gwiazdki kwadraty złączone są trzema ząbkami z o. pow. Ząbki te zaczyna się w środku od 6 o. pow. i 1 o. śc. w piąte o. narożnika kwadratu; 6 o. pow. 1 o. śc. w piąte o. drugiego kwadratu i 6 o. pow. przyrobionych w 1 o. ząbka tworzą pierwszy ząbek; dwa inne wykonane w podobny sposób łączą kwadrat z mniejszą gwiazdką, co ryc. 7 jaśniej wskazuje. Z brzegów serwetki dane są naprzemian trzy duże gwiazdki i dwie gwiazdki z ząbków idące z obu stron narożników kwadratów; potem następuje brzeżne obrobienie serwetki, złożone z o. powietrznych. Dla nadania zupełnie okrągłego kształtu, potrzeba o. pow. przyczepić do serwetki o. śc. i sł. raz lub dwa razy nawijanemi, odpowiednio do zagłębienia, na rogach zaś kwadratów dane są sł. trzy razy nawijane. Skończoną serwetkę oszywa się frendzlą, odrobioną podług ryc. 10 lub 11. Frendzla podana na ryc. 11 ma nagłówek z ząbków, zupełnie odpowiednich do ząbków



N. 23. Suknia z tiuniką. Patrz płecy kostiumu z pelerynką ryc. 23 w N. 40 T. M.



N. 19. Neseser kieszonkowy do roboty koronek. Otwarty. Patrz zamknięty na ryc. 20. Ozdoby ryc. 21.



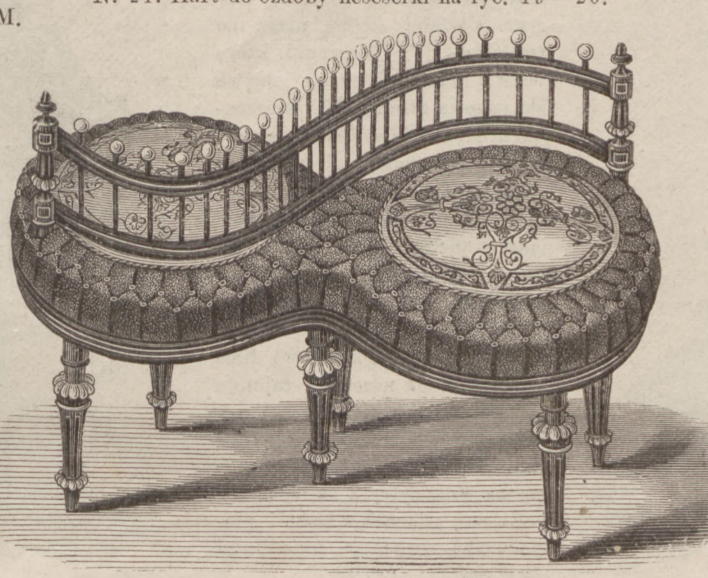
N. 22. Medalijon. Haft z aplikacyją wypukłą. Użytek rozmaity.



N. 20. Neseser kieszonkowy do roboty koronek. Zamknięty. Patrz ryc. 19—21.



N. 21. Haft do ozdoby neseserki na ryc. 19—20.



N. 25. Kozetka. Patrz wzór haftu Ryc. 10.

w gwiazdkach. Robi się wzdłuż, zaczynając od ząbków matowych liczących po gwiazdce i o. pow. i 5 sł. zajmowanych w pierwsze z o. pow. Powtarza się od *. Robi się wzdłuż, zaczynając od ząbków matowych, liczących po * 5 o. pow. i 5 sł. zajmowanych w pierwsze z o. pow. Powtarzać od *. Górne i dolne obrobienie łatwo dopełnić podług ryciny; długość przywiązywanej frendzli zależy od gustu.



N. 18. Fartuszek z kwadratowym wykrojem. Patrz przód ryc. 2.

N. 12—14. Kwadratowa serwetka. Kratki z wyciąganych w płótnie nitek i łatwy haft.

Ażury i kratki wiązane z nitek w płótnie, w rozmaity sposób, znowu wróciły do mody, a łatwa ta i ładna robota znalazła wiele zwolenniczek; Ryc. 12 przedstawia kwadratową serwetkę, odrobioną w tenże sposób z niezbyt cienkiego płótna i rozdzieloną na krzyż dwoma pasami po 5 cent. szerokiemi, przyciśniętemi w środku 6 cent. liczącym kwadratem. Pasy i kwadrat ozdobione są łatwym haftem, wykonanym pąsowym jedwabiem podług. ryc. 13 i przystębnowane brzegiem do części serwetki. Dla mocy podszywa się od spodu niewidocznemi ściegami gładkie pasy płótna. Rycina 14 przedstawia w naturalnej wielkości część tła ażurowego z lewej strony, ażeby lepiej objaśnić i uwidocznić przeprowadzenie nitek z lewej strony. Po wyciągnięciu nitek podłużnych i poprzecznych, najlepiej jest przyfastrzygować część serwety na ceracie ażeby nie ściągnąć kratek przy robieniu pajączków. Nitki przeprowadzane z tej strony matowych kwadracików płóciennych, są jednym ściegiem zaczepiane na rogach kwadratu. Wiązanie i pajączki objaśnia ryc. 14, obrobienie brzegów wymaga dużej staranności, ażeby płótno nie siepało się w użyciu. W tym celu potrzeba cienko odziergać brzegi kwadracików płóciennych tudzież ostatnią część wysiepanych nitek na których przyczepia się następnie kwaściki 5 cent. długie, wiązane z wyciągniętych z płótna nitek.



N. 24. Suknia z tiuniką i bluzką. Patrz ryc. 24 w N. 40 Tyg. Mód.

N. 15—16. Kwadratowa serwetka.

Szydełkowe kwadraty i mocna plecioneczka koronkowa.

Plecionka koronkowa, zakończona z brzegów pikotami, przecina się na 10 kawałków i zszywa w wielki kwadrat, rozdzielony krzyżowaniem się plecionek, na drobne kwa-



N. 26. Kaftanik dla młodej panienki.



N. 27. Ubranie dla młodej panienki.

dra:iki, jak to ryc. 15 wskazuje. Wykonanie szydełkowych kwadracików, które wrabiają się między plecionki objaśnia ryc. 16. Potrzeba najpierw obrobić pierwszy rząd słupków, rozdzielanych 1 o. pow. i zajmowanych w każdy pikot plecionki. W drugim rzędzie idą sł. przedzielane 3 o. pow. zajmowane co czwarte o. poprzedniego rzędu.

W rogach kwadratu nie robi się wcale oczek powietrznych. Przy obrobieniu czwartej strony kwadratu, zaczynają się gwiazdki środkowe, robione tam i napowrót. Po drugim sł. robi się 7 o. pow. * 1 p. 5 o. pow. zaczepionych ostatniem za oczko w trzeciej stronie kwadratu, między drugim a trzecim sł. (dalej zaś co 7 o.). Potem następuje 5 o. pow. i 1 o. śc. którem boczna pentelka gwiazdki jest zamknięta, dalej 1 p. i 5 o. pow. Powtórzyć jeszcze dwa razy od *. Ostatnie oczko tego rzędu, zaczepia się w 7-me od rogu oczko drugiej strony kwadratu. Wracając do ręki prawej robi się dla wykończenia pentelki 5 o. pow. i 1 o. śc., dalej * 1 p., 1 całą pentelkę, z 10 o. pow. 1 o. śc. złożoną, (w ostatnim rzędzie robionym ku ręce prawej, taka pętelka zaczepia się po piątem oczku za brzeg pierwszej strony kwadratu) 1 p., 5 o. pow. 1 o. śc., jako zakończenie pętelki i znów powtórzyć od *. Po skończeniu tego rzędu, dorabia się jeszcze 1 o. pow. 1 sł. 3 o. pow. (1 sł. na środek czwartej strony kwadratu. Robiąc dalej ku ręce lewej potrzeba zrobić 7 o. pow. poczem następuje * 1 p. zaczepiony po skończeniu za pętelką, co objaśnia kierunek strzałki na ryc. 16 znów jeden p. i 5 o. pow. i powtórzyć od *. Z powodu braku miejsca ryc. 16 podaje kwadrat o czterech środkowych gwiazdkach, gdy na yc. 15, przedstawiającej całość serwetki jest ich po dziewięć. Frendzla zakończająca brzegi, odrobiona jest podług ryc. 10.

N. 19—21. Neseser kieszonkowy do roboty koronek.

Materyjał: szare płótno w kawałku 73 cent. długim a 12 szerokim, cerata 50 cent. długa, 12 szeroka, pąsowa taśma 1 cent. szeroka kwiatki wycinane z kretonu i kolorowa filozela.

Położywszy na środku płótna ceratę, pot. eba jego końce założyć na wierzch, ceraty, na 11 $^1/_2$ cent. z każdej strony przez co tworzą się dwie kieszonki, które wraz z brzegami ceraty oszywa się pąsową taśmą. W kieszonkach mieści się z jednej strony tiul na koronkę lub zwiniętą część roboty, z drugiej zaś drobiazgi, niezbędne przy robocie jako to plecioneczkę,, nici, igły i t. p. Wierzch neseseru ozdobiony jest szlakiem i rzucikiem z kwiatów wyciętych z kretonu i naszytych na tle kolorową filozelą. Środek neseseru zajmuje cyfra wyszyta z plecioneczki medalijonowej, z gałązką wyhaftowaną filozelą. Rycina 20 przedstawia wzór cyfry a na ryc. 21 podajemy szlaczek z haftu i plecioneczki, zupełnie odpowiedni do cyfry.



N. 28. Chusteczka jedwabna z krezą à la Marie Stuart.

N. 22. Medalijon. Haft z aplikacją wypukłą.

Materyjał: białe sukno na tło; kawałki sukna lub atłasu w dwóch cieniach koloru lila, popielatego i zielonego, filozela tychże kolorów, tudzież brązowa i czarna.

Medalijon ten odpowiedni do przyozdobienia tek, lambrekin, ombrelek przed lampę i t. p. stanowi nowy wzór aplikacyi wypukłej, którą opisywaliśmy już dawniej. Przedstawia on gałązkę maku, w kolorze popielato-lila, z zielonemi listkami. Układ liści do cieniu i odzierganic brzegów wskazuje ryc. 22.

(dok. nąst.).



N. 29. Chusteczka z muślinu i aksamitk.



N. 30. Wysoki stanik (sznurowany z tyłu).